



463

5117

WIĘKSZOŚCIĄ!



117
Artur Gruszecki.

Większością!

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

TOM II.

ZWIĄZEK ZAWODOWY PRACOWNIKÓW
KSIĄŻKI, FIŁACY I RADIA
RADA ZAKŁADOWA
"DOM KSIĄŻKI"
Kielce, ul. M. Bucyła 33, tel. 33-15

~~"DOM KSIĄŻKI"
Przedsiębiorstwo Państwowe
w Kielcach~~

~~Str. 40~~

WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego

47 Nowy-Świat 47



Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Декабря 1901 года.

2979



229616

V.

Pani Świetnoska, pomna wskazówek syna, by mąż zastosował się do rad marszałka, a przynajmniej udał, że ich usłuchał, upatrywała stosownej chwili, by przeprowadzić pomyślnie swój zamysł.

— Mój kochany Stefku — odezwała się po śniadaniu, gdy mąż, zapaliwszy cygaro, rozsiadł się wygodnie na ganku i przerzucał gazety — nie mógłbyś mi powiedzieć, co zamýślasz zrobić z chłopami, a zwłaszcza z Drewniakiem?

Zachmurzył się i odparł opryskliwie, nie podnosząc oczu z gazety:

— A wiesz, Celinko, zaczynasz być nudna z tem wiecznem przypominaniem...

— Zdaje mi się, że wspomniałam o tem po raz pierwszy...

— Tylko zdaje ci się — zadrwił. — Najpierw męczyłaś mnie, bym posłał Władziowi pieniądze; usłuchałem i posłałem więcej, aniżeli potrzebuje...

— Pomyśl jednak, że wobec naszego wspólnego projektu ożenienia go z Ewcią, on musi się wyekwi-pować...

— Wiem, wiem, nasłuchałem się już o tem... Następnie dałem ci na odnowienie mebli i pokojów gościnnych, chociaż, mojem zdaniem, mogło zostać, jak było...

— Sam się przecież zgodziłeś, Stefku.

— Zgodziłem się!? — zaśmiał się. — Wolałem to, aniżeli słuchać wymówek i widzieć wasze kwaśne miny, a pomijam już suknie Irenki... Teraz znów te wybory... W nieszczęśliwą godzinę zgodziłem się zostać posłem; teraz nie mam chwili spokoju.

— Ależ Stefku, czyż to zrobisz dla mnie? Czy potrzebne mi to? Dlaczego robisz mi wymówki? Sam się zgodziłeś, teraz rozgłosiło się po całym powiecie, zaangażowałaś swój honor i sławę, a gdy ja, troszcząc się o ciebie, przypomnę ci cokolwiek, bo przecież możesz zapomnieć przy tylu interesach pewnych szczegółów, zaraz się obrażasz.

— Nie obrażam się, ale pozwól mi odetchnąć swobodnie chociaż chwilę.

— Czyż ja chce, abys zaraz wyjeżdżał, rozmawiał z chłopami, zawołał Drewniaka?... Widząc, że jesteś w dobrym humorze i masz chwilę wolną, spytałam się o chłopów, a ty wybuchnąłeś, złościsz się, czyuisz mi wyrzuty... Bardzo dobrze: możemy wcale nie rozmawiać o wyborach, ale gdy one się nie powiedą, ty będziesz najbardziej cierpieć nad tem.

Wstała z krzesła z zamiarem odejścia z ganku.

— No, no, Celinko, uspokój się; każdy żart bierzesz seryo... Usiądź, proszę cię, ja wiem, że ty mówiłeś w najlepszej myśli... Chciałem trochę podroczyć się z tobą.

— A zmartwiłeś mnie—szepnęła.

— Przepraszam cię... O czemże chciałaś pomówić?

— Już zapomniałeś?—szepnęła z wymówką.

— Ależ nie, teraz sobie przypominam: pytałaś się, co zrobię z chłopami?

— I z Drewniakiem—dorzuciła.

— A tak i z Drewniakiem, ale przecież nie będziesz wymagała, abym poprosił tego smarkacza do siebie; i tak ma dosyć honoru, że ja i on kandydujemy wspólnie o zaufanie chłopów — kończył z uśmiechem gorzkiej ironii.

— Tego nikt nie może od ciebie wymagać, jednak twoje milczenie i bezczynność mogą chłopów uważać za rodzaj pozwolenia na wybryki, które dzieją się w twojej wsi.

— No tak, zapewne... ale uważasz, Celinko, mówiąc między nami, nie chcę zwoływać chłopów do dworu. Wiem, że oni są rozgoryczeni z powodu lasu, coś zaczną gadać, ja krzyknę i po całej zgodzie... Niech się utrze ta cała historia, oni zapomną i wszystko wróci do dawnego ładu.

— A może masz słuszność—mówiła z wolna. — To źle, że właśnie przed wyborami naraziłeś sobie chłopów...

— Gdyby nie ten las, ani myśleć mi o kandydowaniu, sama wiesz najlepiej... No zgadnij, ile mi też zostało z dziesięciu tysięcy?

— Ile?... Siedem, może sześć z czemś...

— Zaledwie pięć—westchnął ciężko;—resztę pochłonęły raty, długi, wydatki.

— To źle... Ile też mogą kosztować cię wybory?

— Hm... czy ja wiem?... Żydzi zażądają coś dla kahału... Urzędnicy z rady i starostwa także wezmą... A kielbasy, wódka, piwo, może i go-

tówką trzeba będzie poforsować... Zbierze się sumka niezła.

— Czeka nas jeszcze przyjazd i pobyt Wandzi...

— Zjedzą nas wybory i wydatki—westchnął ze smutkiem.

— Zawsze zostaje nam zboże po zbiorach, buraki...

— Mało co się okroi... Tyle, aby przeżyć do drugich zbiorów.

— Trudno, mój Stefku, mamy przecież obowiązki względem dzieci...

— I ja to wiem... a zresztą jakoś to będzie. Byle Władek ożenił się z Ewcią Rokioką, a Irenka poszła zamaż, poradzimy sobie.

— Tak... tak... zawsze z czworgiem dzieci lżej... A kiedy Boles i Edzio przyjeżdżają?

— Zapewne w tych dniach zaczną się wakacje w Chyrowie... Tylko ich czekać.

— Radabym ich już zobaczyć—mówiła z rozczuleniem; — pewno urosli znacznie, bo w tym wieku chłopcy bardzo szybko rosną.

— Hm... zapewne... zobaczymy zresztą; wracając jednak do spraw bieżących, myślę zawołać do siebie starego Drewniaka... Wybadam go zręcznie i może ugłaskam, albo przestraszę... Już dam sobie z nim radę.

— To będzie najlepiej, mój Stefku... A kiedy myślisz go zawołać?

— Hm... nie wiem, może dziś, może jutro, kiedy znajdę wolną chwilę.

— Im prędzej, tem lepiej pozbyć się kłopotu... Możeby dziś?

— Tylko nie teraz... chyba po obiedzie.

— Pogadaj z nim przy czarnej kawie.

— A dobrze... Każę go zawołać.

— Sama przypilnuję—uśmiechnęła się—boś ty gotów zapomnieć.

— Pamiętaj jednak—mówił do odchodzącej żony—dopiero po obiedzie.

W czasie obiadu oznajmił lokaj, że zawołany Drewniak przyszedł do dworu.

— Niech czeka—mruknął pan i jadł dalej spokojnie.

Otrzymaany rozkaz powtórzył chłopu lokaj, przechodząc bocznymi drzwiami do osobno zbudowanej kuchni.

Wyczekujący, chłop stary, z grubymi zmarszczkami na wygolonej twarzy, usłyszawszy rozporządzenie, nacisnął na krótko ostrzyżoną głowę kapelusz, usiadł na pieńku, leżącym blisko drzwi kuchennych, oparł brodę na dłoni i patrzył na przechodzącą służbę dworską.

Gdy znajomy mu lokaj, oczekując na potrawę, przystanął obok, spytał:

— A nie wiecie, czego mnie wołają?

— Trudno mi wymiarkować, dawniej był u nas ład, a teraz żadnego porządku, tyle, że stary pilnuje czasu jedzenia i spania, a zresztą narady, wyjazdy, konszachty...

— Tak powiadacie... I bez cóż to?

— Zacheiało się staremu być posłem, to i tłucze się, jak Marek po piekle.

— Moiściewy, a więc to prawda? — zdziwił się chłop.—Gadali to we wsi, no nie wierzyłem, bo i po co mu tego, toż ziemi ma huk, dwór jak malowanie, gospodarstwo niczego, i pyta sobie nowego kłopotu.

— Ho, ho, nietylko chce być posłem, ale cały

dwór przerabia, stare graty, chociaż i dobre, precz wyrzuca, a nowe sprowadza.

— Ho, ho... to wielki grosz stoi.

— Dostałci od żydów za las, to rzuca nim trza, nietrza.

— Mój Boże — westchnął chłop — taki ojcowski las odpadł w ręce żydowski!

— Z nimi — wskazał na dwór — było już bardzo krucho; gdyby nie las, nie byłoby co robić u nich.

— Hej, zabierać półmisek, bo wystygniel — zawołał kucharz z progu, ubrany w biały wielki fartuch i w myce na głowie.

— Nie strują się! — mruknął lokaj, idąc do kuchni.

Obok siedzącego chłopą przenosili półmiski; z kuchni dobywał się smakowity i drażniący zapach potraw. Chłop westchnął raz i drugi, połknął napływającą ślinę i pomyślał.

— Hej, mocny Boże, aby choć raz w życiu spróbować tego jedzenia, najeść się do syta... Ale gdzie tam chłopu marzyć o tem! Ot, byle chleb był w chacie, dzieci nie głodowały, bydło się chowało, już ani on, ani syn, chociaż taki uczony, tak żyć nie będą, jak taki pan. I dlaczego on taki biedny, a ten taki bogaty—przemknęło mu się w myśli—ano, Boża wola, cóż robić?

Czego jednak pan chce od niego? W myśli przeszedł możliwe przyczyny. Dworowi nie nie winien, za wypas zapłacił, szkody nie zrobił, na dworskie żniwa sam nie wyjdzie, bo za stary, chyba, żeby pan wspomniał, iż zeszłego roku prosił go o tę łąkę na ubrzeziu, mały klin przy jego gruncie, a może mu puści na ten rok? Rozjaśniła mu się twarz, za-

błysły oczy. Ten klin dwukośny bardzoby mu się przydał; miałby czem przezimować krowę i jałówkę... A gdyby go zawołano w tym celu? Niespokojnie się poruszył na pniaku. Lecz wkrótce opadły go, jak muchy, różne wątpliwości. Pan mógł zapomnieć, bo i co taki klin dla niego, który ma tyle ziemi; kupcy dali dużo pieniędzy, to i nie zląkami się pan na te kilka groszy, a gdyby chciał wypuścić ten klin, każałby mu powiedzieć o tem, aby przygotował pieniądze.

A może to idzie o syna? Po co jednak wołałby ojca? Z synem rozmówiłby się łatwiej i lepiej; co zresztą panu do syna, który cały rok bez mała siedzi w mieście i żyje z pensyi?

Lokaj znów przystanął i odezwał się:

— A nie macie wy czego na sumieniu względem dworu?

— Nic a nic, uchowaj Boże!

— Hm... nijak nie mogę wykalkulować, czego on od was chce...

— Ani ja — mruknął chłop zafrasowany — to i owo przychodzi, ale po namyśle ani to, ani owo nie jest.

— Ano, zobaczymy—dorzucił lokaj.

— A długo mi jeszcze czekać?

— Iiii, nie, już i po obiedzie; teraz dam kawę i koniec.

— Już mi się markoci z tem czekaniem.

— Ja już was zameldowałem, to musicie czekać, taki przepis.

— Ano, to i zaczekam—poprawił kapelusz, spojrział na buty, starł z nich pył, obciągnął kamizelkę i znów się zamyślił.

Wspomniał słowa syna, że ten szlachcic tylko

sztuczkami trzyma się majątku; tam sprzeda, ówdzie urwie, znów się zapożyczy, i tylko nie widać, jak go wyrzucą z majątku. Tak to wygląda zdaleka; ale jak człowiek przyjrzy się zblizka, nie przymierzając, jak on teraz, gdy ujrzy, co oni jedzą, ile to usługi, dostatku, i to dzień zwykły, roboczy, a w dodatku przed żniwami, to takiego nie łatwo zmożą długi, i zawsze będzie on panem. I na takiego bogacza, którego boi się wójt, każdy urzędnik szanuje, sam starosta jemu się kłania, a żyje w przyjaźni ze wszystkimi proboszczami, porywa się jego syn! Prawda, że on uczony i mądry, prawda, że chłopcy są za nim, ale takiemu szlachcicowi on nie poradzi, to darmo, napyta sobie tylko biedy i kłopotu i tyle zyska. Ha... ale to nie jego rozum i głowa, kiedy syn się uparł, niech idzie, byle on nie ucierpiał na tem, toż Stach jego nie jest dziecko, wie, co robi i co go czeka.

Wtem zbliżył się lokaj, mówiąc:

— Idźcie, pan was woła.

Wstał szybko, obciągnął białą sukmanę, poprawił pasa, spojrział na lśniące od tłuszczu buty, zdjął kapelusz i spytał:

— A którądy mi iść?

Pochylony z ciężkiej i przydługiej pracy, z odkrytą głową, na której jasne słońce srebrzyło siwe włosy, krokiem męzkim, zmęczonym, szedł przez zwirowaną drogę podjazdu i pokornie stanął przy schodach ganku.

— A... to ty, Drewniak—przemówił pan z cygarem w ustach, siedząc nad czarną kawą— chodźno bliżej, pogadamy...

Wszedł na schody, a każdy z nich wydawał mu się tak wysokim i ciężkim do przebycia, że w górę

podnosił nogę i stawiał ją głośno z hałasem, z dźwiękiem żelaznej podkówki.

Stał o kilka kroków od pana i miał kapelusz bezradnie.

— Słuchaj, Drewniak! znamy się z sobą nie od dzisiaj; powiedz mi szczerze: czy zrobiłem ci krzywdę?—spytał tonem łagodnym.

— Ja się też nie skarżę, Boże uchwaj!

— Czy zająłem ci niesłusznie jakie bydło? Czy nie pozwoliłem wypasu?

— Co prawda, to prawda—mruknął chłop.

— A może cię osztrafowałem niesłusznie? Może krzywdę wyrządziłem?

— O rety, a któż to mówi!

— Pamiętasz ty ten klin łąki?

— Jakżebym go miał zapomnieć, toż dotyka mego gruntu.

— Pomyślałem i o tem; przydałby ci się dla bydła, co?

— Oj, i jak!

— Ano, to widzisz, że ja dobry dla ciebie i chciałbym ci pomóc.

Chłop poruszył się niezgrabnie i szedł, aby ucałować rękę pana.

— Daj spokój, Drewniak... Posłuchaj tylko końca.

Chłop przystanął i z pod gestych brwi bacznie przypatrywał się dziedzicowi.

— Otóż uważaj — zaczął pan — nic złego ci nie zrobiłem, przeciwnie, chce ci pomóc, a ty?

— Wielmożny dziedzicu, na mnie też nijakiej hańby nie ma.

— Kłamiesz, kochanku—uśmiechnął się właściciel. — A powiedz mi, kto buntował wieś, gdy las sprzedałem? Kto zbiera gospodarzy, aby rajcować i iść przeciw rządowi? Kto podjudza chłopów w całym powiecie?... Odpowiedz, jeśli jesteś sprawiedliwy...

— Jak mi Boga przy skonaniu, to nie ja robię; żli ludziska rozpuścili ozory na mnie i tyle.

— Ty, czy nie ty, ale z twojej chaty to idzie.

— Napłóttł ktoś bajek, aby mi zaszkodzić u wielmożnego dziedzica.

— Już ty mi nie gadaj, alboż ja ślepy, czy głuchy? Wiem wszystko, co się dzieje u ciebie i we wsi... Czekam jednak, bo myślę, że się sam opamiętasz...

— Ja spokojny człowiek, gdzie ta do buntu, dzieciom aby chleba było, nie trzymają się mnie żadne fanaberye.

— Teraz to tak mówisz... A czy to nie twój syn pobuntował mi wieś całą? A kto, jeśli nie on, zbiera ludzi byle jakich i podnosi hałas, że aż w radzie mówią i starostwie? Inni panowie mają do mnie pretensyę, że wszystko złe idzie z mojej wsi, a kto temu winien, jeśli nie ty i twój syn, który bałamuci ludzi i wiedzie na złą drogę?

— Wielmożny dziedzicu — odparł chłop, skłaniając się do kolan—to nawet, z przeproszeniem wielmożnego dziedzica, jeśli buhaj albo kiernoz wpadną w szkodę, niema nijakiego sztrafu, a cóż dopiero, gdy syn, już nie parobkiem, ale stał się gospodarzem na swoim, zrobi ni to, ni owo; sam on ma swój rozum, sam odpowiada... Ojciec winien, póki syn mały i nierozumny, a później on sam odpowiada przed

ludźmi i sądem... Tak zawsze bywało, tak jest i dzisiaj.

— Zawsze jednak, co ojciec, to ojciec.

— Może w pańskim stanie tak jest, ale u nas inaczej. Póki syn je mój chleb i u mnie służy, musi być usłuchany, ale skoro poszedł na swoje, już on swój pan i na to niema nijakiej rady.

— Chcesz się wyłgać — zawołał pan, chmurząc się—ale to na nic się nie zda. Słuchaj i zapamiętaj to sobie, że jeśli dalej ty i twój syn będziecie wyprawiali podobne awantury, zgromadzali chłopów i podjudzali, to wystarczy mi pisać słówko panu staroście, a odechce się wam na całe życie wyprawiać podobne komedye. Ty wiesz, że od starosty zależy egzekutor, żandarmerya i wójci. Ciebie zniszczą sztrafami, a syna odprowadzą ciupasem.

Chłop uczuł się pognębiony, rozumiał całą doniosłość groźby, zgarbił się jeszcze bardziej, kolana wygięły się, twarz smutną i zafrasowaną spuścił niżej i po chwili odezwał się pokornie, żałośnym głosem:

— Wielmożny dziedzicu, co ja temu winien, nic nie robię złego, u mnie nie było żadnych zgromadzeń; tyle mojej winy chyba, że syn mój mieszka w mojej chacie, i to nigdy długo miejsca nie zagrzeje, ale jeździ to tu, to tam; cóż tedy mam robić?

— Nie moja w tem głowa; ciebie czynię odpowiedzialnym za spokój. Dość mi wstydu przed sąsiadami, z których każdy ciska mi w oczy, że w mojej wsi źródło nieporządków i jakichś buntów.

— Cóż ja na to poradzę?—narzekał Drewniak.— Toć mi trudno wygnać syna z chałupy.

— W takie rzeczy ja się nie wdaję; ty jesteś stary i doświadczony człowiek, zastanów się tylko,

w sejmie zasiadają biskupi i panowie, aby mądrze radzić nad biedą w kraju... Uprosil i mnie, abym wstąpił do sejmu, i za mną są wszyscy panowie, księża, wszyscy urzędnicy i przyjdzie do was rozkaz, abyście mnie wybrali i musicie wybrać. Nagle ani ztąd, ani zowąd wyrwał się twój syn, jak Filip z konopi, i zachciało mu się być posłem. Czy to jest w tem sens jaki? Narazi siebie i drugich na gniew wszystkich, zaczną was dusić byle drobnostką i wójci, i starostwo, i rada powiatowa, i księża; nie dopnie, bo nie może dopiąć wyboru na posła, a co skrzywdzi, to skrzywdzi różnych gospodarzy. Dziś tu jest, a potem wyjedzie, ale wy wszyscy zostaniecie i was nie może minąć kara. Weźże moje słowa na rozum i bacz, abyś pierwszy nie popadł w biedę i nędzę.

— Prawdę mówi wielmożny dziedzic i ja sam kładłem to w głowę synowi, ale na upartego niema nijakiej rady... Ja, tak mi Panie Boże dopomóż, nie chcę się mieszać do wyborów; co mi potem? Nie mam do tego ani głowy, ani czasu, to i bez cóż ma na mnie padać kara?

— Jesteś ojcem, masz władzę nad synem i zrób, co trzeba... Jeśli mnie usłuchasz i będę widział, że spokój wraca, to wypuszczę ci na trzy lata ten klin łąki, pozwolę ci na wypas i sprzedam zawsze drzewo z lasu, ile ci będzie trzeba; a nie usłuchasz, poznasz ty mnie i prawnukom będziesz zakazywał, aby nie zadzierali z panem, starostwem i radą...

— Oj, wielmożny dziedzicu, ani mi nigdy nie powstało w myśli sprzeciwiać się starszym, uchowaj Boże, i wszystko zrobię, co wielmożny dziedzic każe.

— Słuchaj, Drewniak, rozmawiając z tobą, dałem dowód, że cię lubię i że całą sprawę chcę cicho, po gospodarsku załatwić, a co i jak zrobisz,

dowiem się prędzej, aniżeli myślisz, no idź do domu i pamiętaj, że teraz wszystko zależy od ciebie, ja spełniłem obowiązek chrześcijański i ostrzegłem was obu... Bądź zdrow!

Chłop zbliżył się, skłonił się do kolan siedzącego pana, ucałował jego białą rękę i ze słowem:

— Niech będzie pochwalony — zaczął ostrożnie schodzić ze schodów, a poczuwszy ziemię pod nogami, zaczął iść raźniej nie śmiąc jednak głowy nakryć kapeluszem, aż dopiero za ogrodzeniem podjazdu dworskiego.

Wyszedłszy na drogę, wiodącą do wsi, Drewniak popuścił trochę pasa, podwinął poły sukmany, nasunął kapelusz od słońca i na twarzy grube zmarszczki ułożyły się w fałdy uśmiechu zadowolenia, gdy rozmyślał nad usłyszanemi słowami.

Niema co mówić, szlachcic zląkł się jego syna i chłopów, chce załagodzić sprawę i wyrównać sobie drogę do wyborów. Jednak syn jego otrzymuje dobre i prawdziwe listy ze Lwowa, dawno już wiedział, że Świetnoski chce być posłem chłopskim... Ten jego Stach, to mądrała... No i żyd, Szaja, przewąchał sprawę, bo i on rozpowiada, że chłopci zrobiliby dobrze, gdyby wytargowali coniebądź na szlachcicu, z nim głosy oddadzą... O, Szaja, to sprytny żyd...

Co jednak zrobić z gadaniem tego ciaracha? Obcuje łąkę na ubrzeziu, wypas i drzewo, wszystko to pożyteczne i dobre rzeczy, warto o nie się postarać i zdobyć na szlachcicu; bo te jego groźby całkiem płonne... Usłuchał syna i podatki zapłacił, w obejściu pilnuje się porządku... Hm... co prawda, jak kto się uprze, zawsze coniebądź znajdzie i osztrafują... Trzeba w sądzie albo starostwie cały dzień stracić i zaraz karę zapłacić, ale to z pieniędzy sy-

na; jednak szkoda każdego grosza, rzuconego w nie-nasycone gardło starosty i urzędu... Na to musi się coś zaradzić...

Jak jednak wydrzeć szlachcicowi te jego obiecanki?... Możeby syna się poradził? Iii, nie, Stach inny człowiek, powiada, że tylko prawdą żyć można i twardo stać przy niej... Ot, młody, niedoświadczony i nie zna życia chłopskiego; niby to można prawdą coś zyskać od pana, albo w urzędzie! — zaśmiał się gorzko.—Ot i teraz we dworze, po prawdzie, należało powiedzieć, my, chłopcy, wybierzemy swego, aby nas bronił w sejmie, nie chcemy żadnego szlachcica, bo każdy z nich czyha tylko na naszą zgubę i nędzę; więc i obietnic nie chcę i groźb się nie zleknię... Byłbym też dużo wygrał tą prawdą!...

A teraz już on sobie sam wykalkuluje, jak to zrobić, aby syna i swoich nie zdradzić, a wyzyskać strach pana...

Z głębokiego zamyślenia ocknął się na głos jednego ze znajomych, który pod cieniem okapu siedząc, pykał z krótkiej fajeczki:

— Hej, kmotrzel! — zawołał i po chwili powtórzył głośniejszym głosem:—Hej, kmotrzel! Dobrze południe!

Idący przystanął, rozejrzał się jak zbudzony ze snu i odrzekł:

— Dobrze zdrowiel

— A zkaąd was Bóg prowadzi?

— Ze dworu.

— Wołali was? I do kogo?

— Do samego dziedzica — odparł z odcieniem dumy.

Wstał chłop i zbliżył się do opłotka nad drogą.

— Ho, ho, pewno nowe matactwo wymyśla — odezwał się z ironią. — Czy nie o furmanki pod drzewo?

— Iii, nie... Ależ słońko przygrzewa—i dłonią otarł krople potu na czole.

— Jak zwykle przed żniwami; a czego od was chciał?

— Śpieszno mi do domu, ażeby zrzucić sukmanę.

— Dojdziecie dziś!—zaśmiał się — odetchnijcie; a może zakurzyście?—i podał kapciuch z tytuniem.

— Ano, kiedy chcecie—odpowiedział Drewniak, wyjął fajkę z blachy żółtej, wydmuchał krótki cybuzek i zaczął nabijać tytuniem.

— O czemże mówił?—dopytywał się sąsiad.

— Ano, mydlił z początku, ni to, ni owo, powiada, że na bunt nie pozwoli o ten las... — zapalił fajkę.

— Oj, będzie mu ciepło, jak pójdziemy do namiestnika, do samego cesarza...

— Tego jeszcze nie wie, bo mi nie wspomniał... Ino odgrażał się, jak zwykle ciarach.

— Zające niech straszy, nie nas! Teraz inne czasy: taki ja dobry na swoim gruncie, jak on na swoim... Minęła już pańszczyzna.

— Ma się rozumieć — przytakiwał Drewniak — i powiada, że naśle na nas samego starostę z powiatu.

— Iii, dzieci nim straszyć; jak zapłacę podatki, co staroście do mnie?

— I ja wiem, że to puste gadanie, ale jemu się zdaje, że starosta nas zje;

— Ba i możeby chciał ugryźć, ale zębów na to niema—uśmiechnął się drwiąco.—Cóż on więcej prawił, bo widzę, że macie coś jeszcze na języku.

— Wylazło szydło z worka na końcu—przemó-

wił Drewniak: — zachciało mu się być postem od nas.

— A niedoczekanie jego; jeszcześmy tak nie zgłupieli.

— I ja tak myślę.

— Cóż wy jemu na' to?

— Powiadam mu: dobrze, bo i po co po próżnicy psuć z nim gębę, ale zobaczymy, czy my ciebie wybierzemy.

— Wasza racya... Ale ja byłbym mu przyciął za ten las...

— Powiedziałem i ja moje słowo, ino ostrożnie, bo i na co się przyda, kiedy się uparł.

— Pewno i o Stachu wam wspomniał?

— A juścić... Powiada, że go z powiatu wyżenie—zaśmiał się.

— Niby to mogą, kiedy on tu należący.

— Ja to wiem... No, zostańcie z Bogiem; już pójdę.

— Idźcie z Bogiem.

Zbliżył się do swej chaty i spojrzął z lubością na gęsty szereg młodych wierzb, które zasadził za płotem od drogi. Białe ściany przeblyskiwały z po za zieleni. Stał przy wrotach i rzucił okiem na poszycie dachu zczerniałe, pokryte gdziegdzie zielonemi porostami i na komin odrapany, przezierający bliżej wylotu dziurami. Trzeba poszyć w tym roku choć połowę, bo przegnije słoma i spróchnieją łaty, zmoże się na to jesienią, bo śliczności żytko wyrosło w polu. Sam zbierze żyto, sam wymłóci, zrobi snopki i poszyje, to jeszcze żaden wydatek gotówki; gorsza bieda, że chlew się wali, a stodoła ledwie się trzyma. Ano, trzeba kupić drzewo w lesie; hej, gdyby pan tak dał darmo, albo co niebądź opuścił z ce-

ny, bo u żydów pewno podrożeje... Już on musi tak zrobić, aby od pana wziąć drzewo, i łąkę, i wypas... Zapłaci już, jak trzeba, byle nie drogo; no i komin poprawi, bo o nieszczęście nie trudno.

Przeszedł podwórko, zajrzawszy, czy też gnojówka przed chlewem okryta mierzwą, schylił się w niskich drzwiach wejściowych i wszedł do izby na lewo, oświetlonej dwoma małymi oknami, z wielkim piecem i kuchnią o żelaznym blacie, przy której kręciła się właśnie niemłoda już kobieta w ciemnej chusteczce na głowie, zawiązanej pod brodą i nie odwracając się od garnków, mówiła do wchodzącego gderliwym głosem:

— Gdzieżeś się tak zabałamucił... Już dawno z południa, obiad dałam dzieciom, bo to głodne, a dla ciebie schowałam strawę. Czy ci dać?

W czasie tej przemowy mąż rozpiął pas i zaczął zdejmować sukmanę, odpowiadając:

— Zaczekaj; pomóż mi zdjąć sukmanę.

Podeszła i ostrożnie ściągała, a potem złożyła równo na wysokiej skrzyni pomiędzy oknami.

— Gdzieżeś był?

— Kaj miałem być? Nie słyszałaś, że poszedłem do dworu?

— Tak długo? — spytała niedowierzającym głosem.

— Nie czekał ci on na mnie, ale ja na niego, aż se podjadł. A Stach gdzie?

— Legnął trochę w stodole.

— Czemuż nie w izbie? — spytał, ściągając buty...

— Powiada, że duszno.

— Niechby ta okno rozwarł.

— Kiej mu się zachciało w stodole, to niechaj go, niech uśnie, bo nachodził się dziś sporo.

— Daj, matko, jeść; głodnym jest — i siadł na ławie za stołem.

Szybko naląła w miskę barszczu, a w drugiej dała kartofli omaszczonych słoniną.

Przeżegnał się, wziął łyżkę i skosztował barszczu.

— Hm... co to? Na mięsie?

— Dla ciebie i Stacha, my postny.

— Dał ci pieniądze?

— Dał, bom się zwiędziła, że Michał Nabelak dorzwał byczka.

— Pewno tego, co złamał nogę?

— A ino.

— No i nie wydobrzał — westchnął. — A ładny był.

— Może ratunku nie było należytego, bo pod opuchliną kość tylko do połowy była skruszona.

— Hm... szkoda bydłęcia.

— Gadajże, coś tam widział i słyszał.

— Usiadłem se wedle kuchni—opowiadał, zając barszcz — co tam za różności nosili, raz wraz lokaj biegnie, a zapach idzie na cały podwórzec, smakowite to być musiało.

— Nie spróbowałeś tam niczego?

— Nikt nie prosił, a nie godziło się upominać.

— To się wie, myślałam, że niebądź który powiedział ci.

— Iii, nie.

— A cóż mówił dziedzic?

— Powiadam ci, cała historia.

— Gadajże raz, bo to cedzisz słowa, jak pusta krowa mleko—zawołała zniecierpliwiona.

— Nie kwap się, jeszcze usłyszysz — mówił zwolna, ciągnąc barszcz z łyżki. — Okrutnie się rozsierdził, że to od nas, niby odemnie i Stacha, idzie bunt pomiędzy ludzi.

— Było się wyprzedzić wszystkiego.

— Takżeś się wyrwała. Wiem to i bez ciebie, a ton dalej...

— Cóż takiego?

— Powiada: „Puszczę ci ten klin łąki wedle twego gruntu, wezmę na wypas bydłęta, drzewo tanio dam, tylko zaniechajcie wszystkiego.

— O przekupień podły! — zawołała z oburzeniem. — Chce, abyś sprzedał za judaszowe srebrniki swoich i syna... A ty co?... Ja splunęłabym i odeszła... Ale ty pewno zapomniałeś języka w gębie... Spodobały ci się łąka, wypas i drzewo... Gadajże raz... Czyś oniemiał?

— Jakże mi gadać, gdyś język rozpuścił, jak pytel we młynie... Co miałbym też sprzedać swoich?

— O, znam ja ciebie, znam jakiś łakomca, ale chyba do tego nie przyszło jeszcze, bo skapiałbyś na nic.

— Dajże spokój, kobieto, nie wyzywaj mnie, bo może być z tobą źle... Gadasz trzy po trzy, jak bez rozumu, tak nic nie rzeknę.

Żona, zaczerwieniona z oburzenia poprzedniego, spozrzała gniewnie na siedzącego, chciała ostrzej przemówić, w obawie jednak, że chłop się zatnie i nic nie powie, rzekła tonem łagodniejszym:

— Może dolać ci barszczu?

— Nie.

— A mięso zjesz?

— Daj krztynę, bom już syt.

Postawiła przed mężem kawał mięsa i solniczkę.

— Jedz na zdrowie — a widząc, że mąż już się trochę udobruchał, mówiła: — Cóż więcej gadałeś?

— Wedle jego obietcanek, to ja nie głupi im wierzyć.

— Racya... Bo u nich słowo, to wiatr.

— Ja to znam... Chociaż strasznie przydałby się ten klin: można dostatnio przezimować dwie, a i trzy sztuki.

— Hm... to prawda.

— A i drzewa na gwałt trzeba, bo tylko czekać, jak zwali się chlew.

— Oj, prawda—westchnęła—ale za takie wygody nie godzi się porzucać swoich.

— To się wie; mam ja inną kalkulację...

— Powiedz mi...

Spojrzał na żonę zukosa, widząc jednak zawziętość na jej twarzy, namyślił się i rzekł:

— Daj-no trochę kartofli do mięsa.

Gdy wróciła, przemówił:

— Trzeba ci wiedzieć, że sypnął nie tylko dobrą obietnicą, ale hojniejszy był w groźbach...

— A co mówił?

— Powiedział, że zrobi donos na nas do starosty, że nasadzi nam na kark wszystkich, ni dnia, ni nocy nie da nam spokoju...

— Zbrodniarz! Ale wyżyliśmy dotychczas, przebudujemy i resztę... Co nam zrobi? Osztrafuje, nie da wypasu, nie sprzeda drzewa, to jeszcze żadne nie-

szczeńście; pomogą nam dobrzy ludzie, upomną się o nas.

— Hm... może co niebądź masz rację, ale będzie nam ciężko, bardzo ciężko — westchnął. — Ja się tam jęgo i nie bardzo boję, ale idzie o Stacha.

— Stacha?! A jemu także groził?

— Powiada tak: „W mojej wsi nie zniosę tego, aby było gniazdo buntu; niech idzie to z innej wsi... Powiem staroście słówko, a ciupasem go wyprowadzą do miasta.”

— O Jezu! Co ty wygadujesz, chłopie? Stacha, naszego Stacha ciupasem!? — schwyła się za głowę rękami.

— Powiada, że Stach zaraz miejsce straci w szkole, bo będzie z niego pośmiewisko na cały powiat... A ty wiesz, że w starostwie nie żartują, jak zechcą, tak i robią, a potem powiedzą, że to przez pomyłkę, czy to raz tak było?

— Cóż ty myślisz? Stach się uprze i nie wyjedzie, ja go znam.

— Otóż w tem cała bieda—westchnął.

— Tak i co będzie?—spytała zmartwiona.

— Alboż wiem? Pogadam ze Stachem.

— Przyjechał po tylu latach, nawet nie nacieszyła się z nim.

— Jak nie można, to nie można.

— A może tobie się przesłyszało?—spytała niedowierzająco.—Gdzieby takiego Stacha prowadzili ciupasem, jak włóczęgę, lub zbrodniarza?

— Słyszałem dobrze i przysięgnę na to, a nie chcesz wierzyć, to i dobrze, nie wierz, tylko jak będzie źle, nie narzekaj na mnie.

— Otóż ojciec z ciebie — zawołała z drwiącym

gniewem — ani zaboli go głowa, chociaż syna poprowadzą na zatracenie. I masz ty, chłopie, serce?

— Cóż mam robić?

— Radź, od czegoż jesteś ojcem?

— Hm... ja myślę, niech Stach na jakiś czas zejdzie mu z oczu, niech jedzie do innej wsi...

— Czy tylko on zechce?

— Coby nie miał chcieć?

— Albo go nie znasz? Powie nam: „Nie mam czego się ukrywać przed ludźmi, zostanę i tyle.”

— Hm... to prawda.

— I jak tu dziecku powiedzieć: „Idź sobie”, i to takiemu dobremu, co sobie od ust odejmie, a nam da... Oj, biednaż ja, biedna... I dziś dał na mięso, a prosi, a błaga: „Jedzcie, matusiu!” Jak on odjedzie, nie zapachną ci specyały.

— Ee, aby brzuch był pełny, a co wpakujesz— wszystko jedno.

— Więc jak myślisz ze Stachem?

— Ano, pogadam z nim.

— To będzie źle; trzeba zrobić na inny sposób...

— No?

— Wnet zaczną się żniwa... tak powiem mu, że będzie mu źle, bo kto mu uwarzy strawy?... I choć mnie serce zaboli, powiem, że będzie nam przeszkodą... On posłuszny i dobry, pewno mnie usłucha.

— Hm... może i twój sposób dobry; widzę, że go znasz.

— A czy ja nie matka?—obruszyła się. — Któż go wychodował i wypieścił?

— Hm... to prawda. Róbże, jak uważasz, a ja poprę twoje słowa.

— Obejdzie się: jak ma usłuchać, to mnie samej usłucha.

— Niech będzie i tak.

Przeżegnał się po obiedzie, wstał, nałożył żarzący węgielek do fajki i biorąc kapelusz, rzekł:

— Pójdę w pole, obejrzę żyto, bo tylko żniw czekać.

— Nie legniesz na chwilę?

— Pójdę spać ze słońcem; teraz nie czas. A kiedy z nim pogadasz?

— Sama znajdę sposobną chwilę — odpowiedziała, zabierając się do zmywania garnków.

Sień była na przestrzał chaty i Drewniak wyszedł tylnymi drzwiami na ogród owocowy za chatą.

Uśmiechnął się zadowolony, widząc zielone owoce, zwieszające się gęsto na gałęziach. Przeszedłszy ogród, stanął na polu. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się tu zagony, mieniające się barwami od żyta białawego do ciemnej naci kartofli i buraków. W promieniach jasnego słońca ostro zaznaczały się barwy roślin, a gospodarz znał każde pole poszczególnie, kto, kiedy i jak uprawił, czem zasiał, czy zasadził.

Kilka zagonów jego żyta leżało niezbyt daleko. Szedł miedzami, ogołocconymi z trawy, zebranej dla krów przez skrzętne gospodynie.

Wokoło była cisza popołudniowa pól obsianych, czasem tylko nawoływała gdzieś przepiórka, a koniki i świerszcze polne dzwoniły nieustannie z usypiającą jednostajnością. Jedyne grusze na miedzach roiły się od swawolnych wróbli i z jednej na drugą przelatywały z krzykiem ciekawe sroki.

To tu, to owdzie Drewniak wziął kłos żyta w rękę, wy dobył ziarno z plewek, badał kolor jego pod słońce, i guiół w palcach, przekonując się, czy gotowe do zbiórki.

Doszedł do swych zagonów; aż się uśmiechnął na widok wysokiego, równego żyta, które nawet w brózdach doścignęło inne.

— Chwalić Boga, ładne, ale też siałem posiewnem ziarnem—mruknął gospodarz, patrząc z lubością na zagony.

Wyjął ziarno z kłosu, zgniół, ledwie z samego końca wyszła biała kropla mleka; reszta już stwardniała.

— Jeszcze dzień, dwa, przygrzeje słońko, będą już i zażynki.

Urwał dwa kłosa w różnych miejscach, obszedł całe pole starannie, ściał nożykiem kilka ostów rozrostłych, i wracał do domu.

Wchodził w swe obejście, gdy skrzypnęły od drzwia stodoły i na podwórko wyszedł młody, może trzydziestoletni człowiek, zwrócił swą twarz, okoloną krótką blond brodą i spytał głosem dźwięcznym:

— Cóż, tatulu, sły chać we dworze?

— Żle, Stachu, szlachcie okrutnie rozgniewany zato, że mu się przeciwisz.

— Inaczej być nie mogło; to w porządku zupełnym—uśmiechnął się.—Czy przyznał się, że chce być postem?

— Powiedział, że go uprosili i że ma za sobą dziedziców, proboszczów i urzędników.

— Samych takich, którzy w naszej kuryi nie mają głosów—zaśmiał się wesoło.—A o gospodarzach nie wspomniał?

W progu chaty stanęła gospodyni i zawołała głośno:

— Chodźcież do izby; chciałabym i ja was posłuchać.

— Idziemy, matusiu!

Szli zwolna w kierunku chaty, a stary opowiadał:

— O wyborach, to albo nie, albo niedosłyszałem, ażeby mówić, tylko bił na to, że musi być wybrany.

— Mój Stachu, a nie napiłbyś się mleka? Mam dla ciebie.

— Dziękuję, matusiu, przykro mi, że objadam was wszystkich.

— Co też wygadujesz!—oburzyła się matka. — Czy ty nie syn nasz najstarszy? Czy nie dajesz nam, ile tylko możesz?... Teraz to już musisz wypić mleka.

— Proszę o jedną szklanę.

Weszli do izby z lewej strony sieni, dość obszernej, wybielonej, obwieszanej obrazami świętymi. Stół, kilka krzeseł, dwie wielkie skrzynie i łóżko wysoko zasłane stanowiły umeblowanie.

Młody, wszedłszy do izby, otworzył obydwie okna aby wpuścić świeże powietrze.

— Przyleżą muchy rojami — mruknął ojciec, siadając.

— Przepędzę je później.

Matka przyniosła garnek mleka i szklanę, a stawiając na stole, spytała męża:

— A możebyś i ty spróbował?

— Daj, bo gorąco.

Wszyscy troje usiedli przy stole, a syn rzekł:

— Moja zatem wiadomość była prawdziwa, że pan Świetnoski kandyduje z kuryi czwartej. Walka wyborcza z nim samym byłaby łatwa, ale jako z kandydatem komitetu, rady i starostwa, będzie ciężka.

— A on zażarty, zwłaszcza na ciebie.

— Cóż mówił o mnie?

— Że ty zbuntowałeś wieś o wyrąb lasu, że zwołujesz zgromadzenia, podjudzasz chłopów...

— Powiedział prawdę.

— Odgrażał się nam i tobie starostwem...

— Głupstwo, nie nam nie zrobią—odparł z lekceważeniem.

Oboje rodzice spojrzeli sobie w oczy, a matka westchnęła.

— Żądał też — ciągnął ojciec zwolna — abym cię powstrzymał, bo idziesz na pewną zgubę i zatrącenie.

— Zbyteczna troskliwość—zadrwił.—A ratunku pomocy nie będę szukał u niego.

— To się wie; wybrałbyś się, jak mysz do kota—uśmiechnął się.

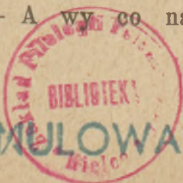
— Cóż, tatulu, powiedzieliście jemu?

— Objaśniłem mu, że ty nie dziecko, masz swój rozum, jesteś sobie panem, że nijakiego wpływu nie mam na ciebie, bo robisz, co chcesz.

— Bardzo dobrze, bo i po co wy macie cierpieć za moje wystąpienie... A nie łudził was obietnicami?

— Jakżeby nie? Gdzie są groźby, są i prośby—zaśmiał się.—Gadał, że jak zaprzestaniesz buntu i wyborów, wypuści mi łąkę w dzierżawę, weźmie bydło na wypas i drzewo sprzeda tanio.

— A wy co na to? — i spojrział badawczo



ANULOWANO

w twarz ojca swemi niebieskimi, głęboko osadzonemi oczami.

— Cóż miałem odpowiedzieć?—mówił zwolna;—powtórzyłem, że to twój interes i władzy nad tobą nie mam żadnej.

— Nie sądziłem, że on tak skąpy w obietnice—zaśmiał się.—Mógł wam bezpiecznie ofiarować dziesięć razy tyle, i tak nicby nie wskórał, bo ja nie ustąpię i kroku.

— Czy myślisz, Stachu, że zostaniesz wybrany na posła?—spytał ojciec.

— Mam nadzieję, że wyborcy mnie nie zawiodą, ale wobec jego wyraźnych gróźb muszę podwoić agitację, i jeśli prawybory dobrze wypadną, pójdą i wybory mimo starostwa, rady i szlachty.

— Bądź co bądź, porywasz się, Stachu, na wielką rzecz, przeciwisz się wszystkim, prócz ludu...

— Wszystkim? Ani mi w głowie, występuję tylko przeciwko garstce ludzi, którzy, pochwycawszy rządy, wiedą cały kraj na pasku swoich interesów kastowych i osobistych—a spostrzegłszy, że oboje rodzice mogą nie rozumieć słów jego, dodał: — Bo widzicie, tatulu, ja nie mam żadnej nienawiści do szlachty, kupców, mieszczan, ale to jest wielką niesprawiedliwością, gdy interesów ludu broni przeciwnik ludu: to jakby wilk był stróżem trzody owiec.

— Hm... to już twój rozum i twoja rzecz, a co myślisz teraz robić? — spytał, wytrząsając popiół z fajki.

— Muszę zbierać poufne zgromadzenia wyborców, aby zachęcać do wytrwałości i zgody, a jak ogłoszą dzień wyboru, dopiero rozpocznie się prawdziwa walka.

— Toć nie możesz ograniczyć się tylko na Bruśniku — dorzucił ojciec — trzeba ci wyjechać do innych wsi.

Syn spojrział badawczo, gdyż i bez tej rady wyjeżdżał często; zrodziło się w nim podejrzenie, że ojciec w obawie o siebie stara się go pozbyć; posmutniał, bo jeśli w domu rodzinnym jego pobyt strach budzi, czegoż może się spodziewać od obcych? Jednak z miną swobodną odpowiedział:

— Będę często wyjeżdżał, może i na kilka dni, bo powiat obszerny... nawet dziś oczekuję wiadomości o pewnem zgromadzeniu.

Wtem pies zaczął gwałtownie ujadać. Wyjrzeni oknem. Na podwórko wchodził żandarm w białych rękawiczkach, z pióropuszem na kapeluszu, uzbrojony w karabin i krzyknął głośno:

— Hej, gospodarzu! Do mnie!

Szybko wybiegł zawołany, a za nim wyszedł i syn.

— Wasze nazwisko? — spytał surowym tonem, wyjmując notatnik z kieszeni.

— Walenty Drewniak, panie wachmistrzu — odpowiedział pokornie.

— Numer domu?

— Sto dwadzieścia trzy.

Stach zbliżył się do rozmawiających.

— A to kto? — spytał, rzucając badawcze spojrzenie na stojącego opodal.

— Mój syn, panie wachmistrzu.

— Syn?... To zapewne Stanisław Drewniak, nauczyciel gimnazjalny.

— Pan mnie już zna? — spytał z ironią młody człowiek.

— Domyśliłem się... Mam i do pana interes,

ale o tem później... Teraz oznajmiam wam, Walenty Drewniak, że komiń na waszej chacie grozi niebezpieczeństwem pożaru. Za nieostrożność zapisuję was do kary... Za niewiązanie psa, wbrew przepisom, zapłacicie również karę... A gdzie bosak i wiadra?...

— Na strychu, zaraz przyniosę.

— Obecnie napominam was tylko, że powinny leżeć na oznaczonym miejscu, na drugi raz zapiszę do kary.

— Panie wachmistrzu, toć nie wiem, czy jeden we wsi trzyma psa cały dzień na uwięzi, dlaczegoż ja mam płacić karę?

— Znacie przepis, nie dopełniście, więc zasłużyliście na karę; innym zostanie wymierzona w swoim czasie.

— Dlaczegoż ja pierwszy?... Albo ten komin, prawda, nie dopatrzyłem, ale wystarczy napomnienie, a gdybym nie usłuchał...

— Nie rezonujcie — zawołał twardo — będziecie gadali w sądzie... a pan — zwrócił się do młodego — ma pan urlop? Dlaczego pan tu siedzi?

— Mój urlop pana nie obchodzi: to sprawa pomiędzy moją władzą a mną; co do mieszkania tutaj, mam jedną przyczynę i ta musi wystarczyć panu, podobna mi się siedzieć w tej chacie.

— Pan wie, że pytam z urzędu?

— I dlatego odpowiedziałem; gdyby pan pytał bez munduru, potrafiłbym ukarać za podobne pytania.

— Ho, ho, za śmiało pan odpowiada, a jeszcze pan nie posłem i nigdy nim nie będziesz — za-drwił.

— A, tędy go wiedli! — zaśmiał się z ironią. — Bywaj pan zdrów, panie wachmistrzu, szukaj pan złodziejów i włóczęgów, a nie czepiaj się spokojnych ludzi.

— Nauk pana nie potrzebuję — krzyknął ostro — i pamiętaj pan, spotkamy się jeszcze...

— Czego uchowaj Boże, bo mi to nie robi żadnej przyjemności.

— Panie wachmistrzu — odezwał się stary z pokorą — nie zapisujcie mnie: dziś komin naprawię i psa uwiążę.

— W sądzie odpowiecie; raz musi być porządek we wsi.

— Zwłaszcza u was, tatulu, boście zanotowani już w starostwie. Chodźmy do izby. Idźcie zdrowi, panie wachmistrzu, a poświadczę w urzędzie, że spełniliście rozkaz dokuczenia.

— Zapłacisz mi pan zato.

— Byle nie gotówką.

Zaśmiał się i wzięwszy ojca pod rękę, zwrócił się do chaty, a wachmistrz wyszedł na drogę.

— Czego chciał ten zatracony? — spytała matka zaraz z progu.

— Drobnostka, matusiu. To pierwsze strzały starostwa; trzeba będzie zapłacić jakieś trzy albo cztery guldeny kary za psa i za komin.

— Żebyś mi nie przeszkodził — skarżył się ojciec — byłbym go uprosił; to nie jest zły człowiek, tylko służbisty.

— Mój tatulu, żadne prośby byłyby nie pomogły: tu nie szło ani o komin, ani o psa, ale musi być kara zato, że jestem waszym synem.

— Hm... może i prawda, bo u innych większe nieporządki, a wszystko im uchodzi na sucho.

— A dług w kasie zapłaciliście, tatulu?

— Zostało mi jeszcze trzydzieści, ale spłacę za dwa miesiące, bo z tych dwudziestu, co mi przysyłaś, piątkę jestem winien Szai.

— Aż pięć!—zdziwił się.

— Wiesz, Stachu, na przednówku brało się u niego to i owo.

— Hm... trzeba mu spłacić co rychlej, bo mówili mi, że się odgraża na was. Nie macie co w chacie,

— Iii, zkadby się wzięło? Może płacze się kilka szóstek...

— Za kilka dni spodziewam się przystania pensyi, dam, jak zwykle, dwadzieścia, ale zapłaćcie, tatulu, jemu i w kasie, bo przez zemstę podadzą was do sądu i może drogo kosztować.

— Jak dostanę, to i zapłacę... ale widzi mi się, że strachasz się niepotrzebnie; miałem nie takie długi, kiedyś chodził do szkoły, a i tak wyszedłem.

— Co innego wówczas, co innego teraz. Dawniej byliście, tatulu, tylko gospodarzem, który się zapracowywa dla syna, a dziś wasz syn naraża się wójtom, panom i urzędnikom; nie mogą inaczej dokuzyć, to chociażby przez prześladowanie ojca.

— Podlecyl!—zawołała matka— ale chyba tobie, Stachu, nie złęgo nie zrobią.

— Zrobić mogą, ale już ja w świecie dam sobie radę i zjeść mnie nie zjedzą — uśmiechnął się, pewny siebie.

Przez chwilę milczeli; syn skręcał papierosa, ojciec opatrywał fajkę, a matka siedziała zamyślona, wreszcie spytała z westchnieniem męża:

— Byłeś w polu? Kiedyż żniwa?

— Przyniosłem dwa kłosa; mogą być i jutro zażynki.

— Jutro? Tak prędko?

— Ano, obaez sama, prawie, że twarde ziarno, a w snopach dojdzie w sam raz—i podał kłosa.

— Prawda... Tak przyjdzie nam wszystkim iść z chaty. Tatulo, Maryś i ja ze sierpami, a Kasia z krową... któż ci, Stachu, uwarzy?

— Będę jadł, co i wy...

— To nie może być, bo skoro świt, zwarzę coś ciepłego, a potem aż do wieczery żyjemy chlebem ze szperką, to nie na twoje zdrowie.

— Pójdę do szwagra, to i zjem.

— Alboż oni nie będą w polu, jak i my?..

— To przeproszę kilka dni...

— Abyś zachorzał? Nie, Stachu, obmyśl sam co innego.

— Hm... ugotuję sobie jaja, popiję mlekiem i dobrze będzie—zaśmiał się wesoło.

— Nie to... a nie masz gdzie w blizkiej wsi znajomego?—westchnęła.

Znów spojrzał badawczo na rodziców, a zrodzone dawniej podejrzenie zwiększyło się. Zasepił się, bo ojca tłómaczył jeszcze jego zabiegliwością o każdy grosz i obawą kar, ale ta dobra matka, która mu dała tyle dowodów poświęcenia i zaparcia się siebie, i ona rada go się pozbyć. Westchnął nad tą małodusznością i rzekł łagodnie głosem, w którym przebijał się smutek:

— Jeśli wam, moi drodzy, stoję w czemkolwiek na zawadzie, wyjadę do Lisowiec; mam tam przyjaciela.

— Oj, Stachu—zawołała rozżalona matka — żebyś ty wiedział, jak mi ciężko rozstać się z tobą,

zapłakałbyś nademną, mój synku... No, ale jak mus, to mus—i łzy zabłyśły w jej oczach.

— Matusiu, toż tylko na kilka dni; uporacie się ze źniwami, zaraz przyjadę i zabawię u was do końca wakacyj.

— Jakże ciebie, Stachu, nie kochać, kiedyś taki dobry i usłuchany?... Ale przecierpiałam tyle, przecierpię i to—i zapłakała rzewnymi łzami—bo ty myślisz, że ja ciebie nie chcę — mówiła z lekkim łkaniem — ale to nie to, Stachu, tylko trzeba, tylko mus...

— Uspokójcież się, matusiu, ja nic złego o was nie myślę — i ucałował jej spracowaną rękę, a ona tuliła głowę jego do piersi, głaszcząc jasne włosy, całując białe czoło.

— Ech, z temi kobietami to tak zawsze—mruzczał ojciec, pokrywając gniewem swe rozczerzenie — zaraz szloch; czy to jedzie na Ukrainę, czy co? Lisowiec o trzy mile i w niedzielę spotkasz się z synem w tamtejszym kościele.

— Napewno, Walenty? Napewno?

— Kiedy mówię, to już będzie tak. Czym cię zwiódł kiedy?

Na drodze wiejskiej posłyszeli turkot wozu kowanego. Wyjrzał ojciec i rzekł głośno:

— Stachu, pewno do ciebie; nie znam ich; jacyś zagraniczni...

— Tak, tatulu, czekałem na nich.

— Któż oni?

— Sobek Mączka i Bartuś Wiącek, z Klimkówki i ze Sławęcina—mówił, wychodząc naprzeciw gości, dwu chłopów, ubranych dostatnio w białe sukmany i szerokie, zdobne pasy.

— Matka, posprzątaj izbę, trzeba ich ludzko przyjąć.

— Zamiast mówić, wynieś garnek i szklanki, a ja zetrę stół.

— Zanim przyjdą, wyniesiesz garnek sama; nie ja go stawiałem, nie ja zabiorę.

— Jakiś ty nieużyty, a Stach, czy nie sprząta? Nie pomaga?

— Stach, to syn, a ja ojciec i mąż — mruknął, nie ruszając się z miejsca.

Zaledwie wyniosła garnek, gdy goście weszli do izby, mówiąc:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków — odparł gospodarz, wstając. — Witajcie — i podał rękę jednemu i drugiemu — i bądźcie, jak u siebie, boście w gościnie wam radej.

— Dziękujemy! Dziękujemy!

— Siadajcie, proszę — i wskazał na krzesło drewniane przy stole.

— Przyjechaliśmy do waszego syna w sprawie wyborów — przemówił Sobek Mączka, rosły chłop, niemal rówieśnik Stacha, ciemny blondyn.

— Jest co nowego, Sobku? — spytał młody Drewniak.

— Gdyby nie było, nie ujrzałybyś nas, ale udało się nam zebrać na jutro zgromadzenie poufne w Sławęcinnie.

— To bardzo szczęśliwie! Na dużo liczycie?

— Zbierze się z pięćdziesięciu, jak dopiszą wszyscy.

— U kogo się zbieramy?

— U mnie — odezwał się Bartuś Wiącek, krę-

py brunet i musnął mały wąsik.—Mam izbę wielką, może półtora raza, jak ta, a i w sieni zmieści się sporo.

— Masz spis zaproszonych?—spytał Stach.

— Zostawiłem w domu, bo i po co miał papier, kiedy znam ich połowę, a innych sprosił Sobek.

— W Sławęcynie dużo naszych?

— Byliby wszyscy, tylko boją się księdza i wójta... Ksiądz, jako że pisujesz, Stachu, w naszych gazetkach, powiada, żeś bezbożnik i każe głosować na swoich zauszniaków, aby wybrali pośłem, kogo im wskaże, a wójt boi się lustratora z rady i wyczekuje rozkazu.

— A u ciebie, Sobku?

— Będzie sporo, chociaż szlachcie i pachciarz pomstują na ciebie i wydziwiają od włóczęgów, nieponiów, burzycieli... Ot, psie łajanie, ale ci, co są zależni, przycupnęli na razie i siedzą cicho.

— No, a wójt z Klimkówki?

— Patrzy wiatru, z kąd wieje, zwyczajnie, jak ten, co się łąsi.

— Widzę, Stachu—odezwał się ojciec—że nie masz łaski u wójtów.

— Cóż dziwnego? To ludzie zależni, a nie znając swych praw, boją się każdego cienia.

— Pokazać wójtowi—przemówił Sobek z uśmiechem—chociażby w lusterku egzekutora ze starostwa, albo lustratora z rady powiatowej, duszę ma w pięcie, bo tak, nie tak, zawsze znajdzie haczyk na niego.

— Co słychać u ciebie, Stachu? — spytał Bartuś.

— Już był u mnie posłaniec ze starostwa—zaśmiał się.

— Kto taki? Czego chciał?

— Wachmistrz ojca zapisał do kary za komin i psa, a mnie pytał, co tu robię w chacie.

— Oho—zakrzyknął Sobek—musiał starosta dostać rozkaz, ażeby nie dopuścić cię do wyboru, bo u niego zawsze zaczyna się od kar.

— Niech karze, gdy kto zasłużył, byle nie gwałcił ustaw—dodał Stach.

— Teraz musimy się pilnować—przemówił Bartuś — bo nasadził już na nas wójtów i pisarzy, a ci będą nam przeszkadzali.

— E, nie zrobią nam krzywdy—zaśmiał się Sobek—nas setki i tysiące, a oni w pojedynkę.

— Zawsze ostrożność nie zawadzi -- doradzał stary Drewniak.

— Pilnujmy się ustaw i przepisów, a nie nam nie zrobią—rzekł Stach.

— Oj, żeby nie ty, miły bracie — przemówił Bartuś, wyciągając rękę do uścisku -- bylibyśmy jako głupi i niemi i każdy przewodziłby nad nami.

— Mówisz przez dobroć, Bartusiu, bo ty i ja znamy dużo ludzi, którym dola ludu leży na sercu—odrzekł Stach.

— Ale nie tacy oni uczeni, jak ty — dodał Sobek.

— Kto chce i jest wytrwały, zawsze nauczyć się może.

— Ba, żeby to uczyli w naszych szkołach, ale na ten przykład ja—mówił Sobek — cztery lata chodziłem, a dziś ledwie, że czytam drukowane, i z biedą się podpiszę; jednak wystugiwałem się rzetelnie profesorowi.

— I szkoły będą lepsze, gdy będziemy wybierali swoich do sejmu, bo tam radzą nad szkołami. Któż im powie w sejmie, jak źle uczą dziecko chłopskie, jak biedują nauczyciele i wysługują się dziećmi... Komuż, jeśli nie nam, chłopom, zależy na tem, abyśmy byli oświeceni, znali prawa i ustawy, poczuli się, że jesteśmy obywatelami wielkiego narodu...

— Wybierzemy swoich, Stachu, niech się tylko naród ruszy — zawołał Bartuś.—Ot, w naszym powiecie ocknęli się już chłopci... Pamiętam, że tamtej kadencji radzono także, aby swego wybrać, ale nie było porządku i jedności, tak wyszedł ksiądz Chromeć, ale dziś i my już inni. Gdzie zajadę, z kim się spotkam, każdy pyta o wybory.

— To już dużo znaczy, że są ciekawi—pochwalił Stach.

— Nasz naród powolny i niedowierzający — przemówił Sobek—ale jak raz się ruszy, to leci, jak z bystrem na Wiśle.

Umilkli na chwilę, a stary gospodarz odezwał się do Sobka:

— Kiedyście z Klimkówki, to powinniście znać Matusa Ubika, był to setny chłop i wielki przechera.

— Znałem ci go, znałem, byłem ot tyli—wskazał na wysokość stołu — kiedy on rej wodził w całej wsi. Ano, będzie temu pięć albo sześć років pojechał do Ameryki.

— I cóż? Zmarniał?

— Bogać tam zmarniał — uśmiechnął się — już on teraz pan. Przysłał bratu ze dwa tysiące, kazał kupić dwadzieścia pięć morgów od naszego obszarnika — rozumiejąc pod tem słowem właściciela obszaru dworskiego — pisze, że przysłał jeszcze, aby mu zbudowali chałupę, jak się patrzy, a wtedy wróci do nas.

— Temu się poszczęściło — westchnął stary Drewniak.

— Czy jemu jednemu? — zawołał Bartuś. — Żeby nie Ameryka i zarobki w Saksach, to zmarniałyby naród. Toż z pieniędzy zagranicznych wyzbywamy się długów, płacimy podatki i kogo stać, to i ziemi dokupi.

— I siła ludu idzie z waszych stron?

— Ho, ho, precz ludzie idą, co który chałupnik, komornik, albo małorolny, to na czas polnych robót wychodzi i zawsze powraca z groszem.

— To wam dają paszporty!? — zdziwił się gospodarz.

— Dają, nie dają — zaśmiał się Sobek, podkreślając długi wąs, przycięty nad wargami — od czegoż przemyślność? Jak kto się uprze, to i pójdzie za zarobkiem.

— Mówili mi ludzie — zaczął znów gospodarz chaty — bo sam nie byłem, że bez paszportu strasznie Niemcy cisną naszym.

— Hm... to jest tak: — tłumaczył Bartuś — do roboty godzi agent i ma z tego prowizję, ale jak się trafi człowiek bez paszportu, zedrze z niego, co się da, i bez to krzywda wielka.

— Co też wadziłoby staroście — rzekł Sobek — dawać paszporty ludziom, kiedy wie, że i tak pójdą? Bo żeby to był obszarnik, a no, takiemu zależy na tanich rękach i radby każdego zatrzymać na lato, a w zimie umrzyj chłopie głodem; ale taki starosta, ani piędzi ziemi nie ma, pensję bierze z kasy cesarskiej, a zawsze przeciwny narodowi.

— To, widzicie, jest taka rzecz — tłumaczył Stach — na każdy urząd w Galicyi można się po-

skarżyć w sejmie i namiestnik musi się tłumaczyć, a nie zechciałby, to i na niego jest skarga w radzie państwa, to musi dbać namiestnik i jego sługi, aby posłom się nie narażać, ale iść po ich myśli. A któż u nas jest posłem? Szlachta, obszarników najwięcej, trochę mieszczan, mało księży, a chłopów tyle, co na lekarstwo; więc i po co namiestnikowi, czy staroście oglądać się na los chłopów? Byłe obszarnicy byli zadowoleni, to w kraju cicho i spokojnie.

— Hm... że też naród nie zmądrzał dotychczas — westchnął Sobek.

— Także chciałeś — zaśmiał się Bartuś — najpierw pańszczyzna była, potem niewola niemiecka, to naród wyszedł z tego, jak zmorek i ómok; najpierw musiał się odjeść, nabrać siły, przejrzeć, a dopiero pomyśli, jak sobie poczynać, aby mu lżej było.

— Oj, prawdę gadacie, chociaż młodzi jesteście — odezwał się stary Drewniak. — Byłem ci wyrostek, kiej ganiłi na pańszczyznę; twardą rękę miał pan i ekonom, i nastawnik, i mandytaryusz; uchowaj Boże, jak zbytowali z ludem, to też byliśmy zbiedoleni, jak było na wiosnę w ciężki rok, a głód marliśwa, aż strach.

— Nie wrócą te czasy, tatulu, bośmy już przejeździeli, a sędzę, że i obszarnicy wyrzekli się już tej myśli.

— Ale, hale — zaśmiał się Sobek, podkreślając płowego wąsa — daj im, Stachu, tylko władzę, a zobaczysz, jak nas ścisną i ujeżdżą. Dobrze też mówi Maciek Brosz, że obszarnicy boją się tylko naszych kos sztorcowanych i cepów, a żeby tylko nie ten strach, wróciliby dawno do pańszczyzny.

— Cóż porabia Maciek Brosz? — spytał Stach swych gości.

— Co drzewiej robił, to i teraz, bo to sztuka okrutnie zażarta, pomstuje na obszarników, karbuje sobie wszystkie krzywdy nasze, powiada, że ma czar-ną księgę i w niej każdy obszarnik ma swoją rubrykę, a jak przyjdzie do obrachunku, każdemu przeczyta jego rejestr.

— Czy będzie na zgromadzeniu?

— Gdzieżby nie był? Upali kilka mil, a mu-si być na każdym. To mi dziwno — mówił Bartuś dalej — że nie zjechał do Bruśnik wedle te-go lasu.

— Był on tu, był — westchnął gospodarz sta-ry — napsuł naszym krwi nie mało, bo co bogatsi chcieli pójść prosić dziedzica, aby nie robił nam tej krzywdy, a on zmówił innych do podania skargi sta-roście, a jak się to nie zda, to kazał murem stanąć pod lasem, a zechce kupiec brać drzewo z lasu, to go drągiem przez łeb, choćby z nim był dziedzic, albo starosta na wózku.

— Tak to on — zaśmiał się Bartuś — za-wzięty i śmiały, z obszarnikiem wodzi się po są-dach, ze skargą na starostę jeździł do Lwowa, i wszyscy z nim grzeczni, bo wyszczekany, a jak błysnie okiem, to aż ciarki przechodzą...—Teraz chce kandydować na posła naszego i w powiecie ma stron-ników.

— A cóż będzie ze Stachem? — spytał zaniepo-kojony ojciec.

— Przejdzie Stach — zaśmiał się głośno So-bek. — Na jutrzejszem zgromadzeniu będzie obrany cały komitet, rozpatrzą wszyscy sprawę Brosza, my jednak mamy większość i Stach będzie górą.

Drzwi się otworzyły i do izby weszła Drewnia-

kowa, niosąc w obu rękach miskę dymiących kartofli, suto okraszonych słoniną.

— Moja kobieta — rzekł stary Drewniak, wskazując oczami na wchodzącą.

— Witajcie, z czem Bóg prowadzi? — spytała z uprzejmym uśmiechem.

— Z dobrem słowem i przyjaźnią—odpowiedział Sobek.

— Witajcie, pani matko—skłonił się Bartuś.

— Proszę, siadajcie, zdrożeni jesteście, jedzcie na zdrowie.

— Dziękujemy pokornie.

— Podjadłszy, podziękujecie — zaśmiał się gospodarz—a teraz proszę, nie gardźcie posiłkiem: czem chata bogata, tem rada.

Po chwili wniosła gospodyni mleko zsiadłe i znów uprzejmie prosiła:

— Wyście goście, to proszę was, jedzcie na zdrowie.

W czasie posiłku przemówił gospodarz:

— A kiedy żniwa u was?

— My siedzim na ciężkiej ziemi — odparł Bartuś—to zawsze opóźniamy się o jaki tydzień.

— U nas za dzień, za dwa.

— Hm... a my chyba za siedem dni.

— Dużo macie żyta?

— Iii, niewiele, mocny chłop przeskoczyłby te sześć zagonów; my siejemy pszenicę — rzekł Bartuś.

— A jaką? Czy czerwoną?

— Nie, u nas ma odbyć sandomierka.

— Tak samo u nas, w Klimkówcu—przyświadczył Sobek.

— Szczęśliwy kraj—westchnął stary Drewniak—nam rodzi pszenica tylko po całym gnoju, a o ten trudno, bo ciężki wypas i przezimówek.

Rozmowa dosyć ożywiona o gospodarce i gatunku roli trwała przez czas dłuższy.

Bartuś, odkładając łyżkę, rzekł:

— Ano, konie wytchnęły, myśmy sobie podjedli, tak czas na nas; zbieraj się, Stachu, pojedziem.

— Kiedyż nasze zgromadzenie?

— Jutro z południa.

— To już w domu przenocuję—mówił Stach— a jutro przyjadę.

— Będziesz po próżnicy gonił konie w taki gorąc, jedź z nami — doradzał Bartuś — dam ci leże dobre, a wypocząwszy, nabierzesz sił do rozprawy.

— Ta chyba trudną nie będzie—uśmiechnął się Stach.

— Kto ta wie? Brosz morowy chłop, gada jak z książki, a naród lgnie do niego, bo rzetelnie prawi o krzywdach.

— Jedź z nami — odezwał się Sobek — nie będzie ci się eknić po drodze.

— Pojadę z wami, ale pod warunkiem, że mnie odwieziecie do Lisowca.

— Nie do Bruśnika?—zdziwił się Bartuś.

— Kilka dni chcę być w Lisowcu, muszę tam zachęcić ludzi, bo są dość leniwi.

— Jest tam Walek Pilut, twój przyjaciel, już on da sobie radę.

W czasie tej rozmowy matka przypatrywała się z wielką żalością synowi i odezwała się:

— Mój, Stachu, możebyś tę noc u nas przebył, jutro cię wyprawię.

— Po co zwlekać, matusiu? Prędzej pojedę, wcześniej wrócę.

— Ano, twoja wola; pójdę przygotować rzeczy do drogi.

VI.

Już od samego południa zaczęli się gromadzić ludzie do chaty Bartusia Wiącka, jednego z bogatszych chłopów Sławęcina.

Usadowili się gromadkami, ci w ogrodzie za chatą, inni na podwórzu, rozprawiając o zbliżających się wyborach i czego żądać od kandydata na posła.

Przed godziną, oznaczoną na zgromadzenie, zaroilo się na drodze od pieszych, wozów i jadących na podjezdkach. Ci, którzy wcześniej przybyli, pomieścili swe wozy i konie na obszernem podwórzu, późniejsi szukali gościny w chatach sąsiednich.

W obszernej izbie za stołem siedział Stach i co chwila wypisywał nowe karty zaprosin na poufne zgromadzenie dla świeżo przybyłych, każdy bowiem z uczestników musiał mieć kartę zaproszenia imienną, stosownie do przepisów prawnych,

Gdy już ludzi zebrało się sporo, obliczył Bartuś, że nie pomieszczą się przybyli w izbie i w sie-

ni, gdyż zamiast spodziewanych pięćdziesięciu uczestników, przybyło bez mała stu. Uprzątał tedy szybko stodołę, do niej prznosił ławy i krzesła, aby wszyscy znaleźli miejsce pod dachem, co było również przepisem obowiązującym.

— Ano, Stachu, ludu jest gromada; zaczy najmy.

— Dobrze, Bartusiu, niech tu wejdą, a ty, jako gospodarz, przemówisz pierwszy.

— Tu jest za ciasno w izbie, poduszają się, bo narodu huk.

Stach zajrzał do spisu i rzekł:

— Jest zaproszonych na papierze 94, a część nie przybyła napewno.

— Chociażby dwudziestu nie przyszło, to i tak izba za mała, przygotowałem stodołę, będzie za- dość przepisom, bo dachem nakryta sala — roze- śmiał się.

— Stodoła nie jest salą, nie daje bezpieczeń- stwa—sprzeciwiał się Stach—a gdy przyjdą żandarmi, mają prawo rozwiązać zgromadzenie.

— Ej, nie marudź, Stachu, dla mnie, dla chło- pa, stodoła to najpiękniejsza sala; chodźmy.

— Jeśli chcesz koniecznie—mruknął Stach, za- bierając papiery i gotując się do wyjścia.

Ruszyli się najpierw ci, co byli w izbie, a idąc w kierunku stodoły, nawoływali innych.

Z ogrodu, podwórza, od wozów szli starsi i młodszy, a i niewiast nie brakowało, które, powdo- wiawszy, same zarządzały gospodarstwem, albo też, ciekawe zgromadzenia, przybyły z mężami do Sła- węcina.

W obszernej stodole, otwartej na przestrzał, pomieścili się bez mała wszyscy. Wielki stół na ko-

złach ustawiono w odrzwiach, a przy nim kilka stołków.

Bartuś Wiącek, ubrany odświętnie, w niebieskiej sukmanie ze świecącymi, mosiężnymi guzikami, stanął za stołem, twarzą ku zgromadzeniu i chacie, widnej przez drugie wrota, odchrząknął głośno, musnął ciemny wąs i przemówił:

— Dziękuję wszystkim zebrany, że przybyli na nasze wezwanie. Jako ład i porządek zawsze potrzebne w każdej sprawie, tak wnoszę, aby przewodniczącym, któryby pilnował ustawy i rozmów, obrać wójta z Rogueic, Jana Rudnika.

— Zgoda! Zgoda!—zawołano z różnych stron.—
Prosimy.

Z głębi stodoły, torując sobie drogę przez ściśnięty krąg uczestników, przesuwał się wezwany, chłop lekko nachylony, w sukmanie, z twarzą czerstwą, ozdobioną krótkim, szpakowatym wąsem, w kapeluszu czarnym, z wysoką główką.

Stanął za stołem, zdjął kapelusz i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!—odmruknięto dokoła.

— Witam szanowne zgromadzenie i dziękuję za honor. Wiecie wszyscy, w jakim celu zebraliśmy się tutaj. Oto wkrótce nastaną wybory z mniejszej posiadłości, potrzeba nam tedy radzić, kogo wybrać i iść zgodnie z sobą, aby nie przepadł nasz kandydat. Jakim ma być nasz poseł i czego od niego żądamy, pokaże się na zgromadzeniu dzisiejszem, na którym też mamy wybrać komitet powiatowy, włościański. Ten powinien rozesłać wicie po wszystkich wsiach, kto jest na posła przeznaczony, i przypilnować prawyborów, bo jak one wypadną dobrze, przejdzie nasz

kandydat, mimo sideł i pułapek, nastawianych przez komitet pański, a raczej kielbaśniczy, na łakomych wyborców.

Przy ostatnich słowach jedni zaśmieli się głośno, inni odgrażali się, mrużąc:

— Struje każdego ta kielbasal

— Nie porachuje taki swych kości!

Uśmiechnął się wójt, rad z wrażenia swych słów i prawil:

— Jakom jest odpowiedzialny za porządek, tak proszę was o posłuch i powagę, bo tu nie jarmark i poważna sprawa; i nie na jeden rok, ale na sześć, na całą kadencję, a siła dobrego może nam zrobić dobry poseł, a jak wybierzemy złego, to przez sześć lat będziemy się kajać... Dla spisania tego, co uradzimy, potrzebny nam sekretarz. Wybieramy gospodarza z Babienic, Adama Norka.

Usiadł, oczekując, dopóki wezwany nie przyjdzie, a Bartuś, jako gospodarz, przygotowywał atrament, pióro, dał spis zaproszonych, wyjaśniając poszczególne rubryki.

Wójt robił tymczasem przegląd zgromadzonych, których po większej części znał osobiście. Mimo ciasnego miejsca, już teraz zaznaczały się dla oka wprawnego dwa stronnictwa. Z lewej strony stał wysoki, silny chłop, z twarzą energiczną, zdobną ładnym, ciemnym wąsem, podkreconym w górę, błyskał okiem po zebranych, rozprawiając z bliższymi półszeptem. Był to Maciek Brosz ze swymi zwolennikami.

Z prawej strony wśród białych sukman odbijał ciemny ubiór Stacha Drewniaka, który, gładząc jasną brodę, odpowiadał cicho, z łagodnym uśmiechem na liczne pytania sąsiadów.

Wśród szmeru rozmów zadzwonił przewodniczący i rzekł:

— Otwieram zgromadzenie... Kto zapisuje się do głosu?

Pierwszy krzyknął Maciek Brosz:

— Ja przemówię!

I spojrzął niechętnie w stronę przeciwnika, który, ku zdumieniu wielu zebranych, milczał.

Po udzieleniu głosu, przemówił Maciek Brosz dźwięcznym, chociaż zbyt doniosłym głosem:

— Znam, bracia, mój cały powiat, bom tu urodzony i od małości wychowany. Widzę tu bez mała wysłanników z połowy powiatu i musi to być ważna rzecz, kiedy porzucili gospodarstwo, robotę w polu, nie żałowali swojego trudu, aby tu przyjechać. I naprawdę, sprawa to bardzo ważna, wymaga dużo namysłu, zastanowienia i rozumu. Jak mi powiedział jeden z moich sąsiadów, gdym wyjeżdżał na zgromadzenie: „Pamiętaj, Maciek, daj tej naszej wdowie dobrego męża.” Tak z tą samą radą zwracam się teraz do was, moi bracia! Mamy w powiecie wdowę, wielkomocna to pani i potężnej ręki, boi się jej starosta, każdy obszarnik drży przed nią, urzędnicy bledną ze strachu, a nam, chłopom, może nasypać złota, albo też siec nas jeszcze większą nędzą. Jaką ta pani dla nas będzie, zależy od jej męża, bo chociaż ona potężna, ale dla męża pokorna i usłuchana, jako każda niewiasta.

— Oj, nie każda taka — jęknął ktoś z tłumu, gdy wspomniał o niewieście, co wywołało ogólną wesołość:

— Dobrze mówi—szeptali bliźsi.

— Łepak z niego—odzywali się inni.

On odchrząknął i mówił dalej:

— Ta wdowa w powiecie, to kandydatura na posła, jak dorozumieliście się sami. A teraz pytam was: Kogo mamy dać jej na męża?

— Chłopa! — zawołali ci i owi, a za nimi całe zgromadzenie zawołało głośno:

— Tylko chłop!

Gdy się cokolwiek uciszyło, ciągnął:

— Powiem wam, że i ja tak myślę. Dajmy jej chłopą, i to nie żadnego udanego, malowanego, podszywającego się narazie pod chłopstwo — tu spojrział w stronę Drewniaka z uśmiechem drwiącym — ale chłopą rolnika, chłopą z naszej chałupy, który wie sam, na własnej skórze, co go boli i męczy. Powiedzą wam może, że chłop nie potrafi radzić w sejmie, że za mało oświecony, że nie kończył szkół.

Oj, przebył każdy z nas najlepszą szkołę na świecie i miał najlepszego nauczyciela. Nas wszystkich kształciła nędza i bieda, te największe nieprzyjaciółki stanu chłopskiego, a kierowała nimi trzecia: niesprawiedliwość. Czy kto inny, chociażby to był syn chłopski, który wyszedł już z naszego stanu, zrozumie, co my cierpimy na każdym kroku i co się dzieje w naszych sercach? Oto jedzie chłop z ciężarem, konięta ledwie ciągną, wóz naładowany, a gospodarz idzie pieszo, podpierając i pomagając koniom, aż z przeciwnej strony pędzi powóz, konie jak katy, furman w liberyi, obszarnik rozwalony w powozie, a gdy widzi, że chłop nie sporo mu się ustępuje, bo nie zdążą konie, woła: „Hej, batem chama! Na bok, durniu!” Dostał chłop, dostały konięta, wóz ugrzązł, a teraz radź sobie, chłopie. Ten stoi i myśli: „Mój Boże, tak łatwo było panu mnie wyminąć, a nie chciałeś; dostałem baty i za co? A kto utrzymuje, kto

zrobił tę drogę, kto w najgorętszy czas musi szarwark odrobić?”

— Juźci, że my—zamruczeli głośno.

— I na mojej drodze muszę cierpieć niesprawiedliwość. Kto sprzedaje lasy żydom, a potem bez drzewa marzną nasze dzieci, niema czem strawy uwarzyć, połatać budynku?

— Obszarnicy!—zawołano.

— Szachraje bez litości!

— Kto zabrania wychodzić na zarobki? Chciałby nas przykuć, abyśmy pracowali dla niego o głodzie i chłodzie?

— Oni, przekłęci!

— Zatrzacone obszarniki!—wołali ci i owi, podnieceni goryczą i wymową.

— Oni to żyją krwią i potem naszym, my płacimy najwięcej podatków, a za to kupujemy sobie ojczyzna, który nas katuje i dręczy. I nietylko nas, ale niszczy naszą pracę w polu. Oto w Dziwinie zniszczyły dziki gospodarzowi pole z kartoflami, zryły na nic. Strzelać nam nie wolno, a nie dadzą się odstraszyć, bo zmądrzały bestye i wiedzą, że chłop bezbronny, tak i broja. Idzie chłop do obszarnika, skarży się, i wiecie, co mu powieział: „Idź precz, głupi chamie, zamknij dziki do chlewa, to nie będą ci szkody robiły!”

Pomruk groźnego oburzenia przeszedł wśród zgromadzonych, którzy bezwiednie przysunęli się ku stojącemu Maćkowi, nasłuchując pilnie jego słów.

— Nietylko nie wynagrodził za szkodę, zrobioną przez jego dziki, ale wykpił i wypędził chłopą.

— Krzywdziciele!

— Szarpaki!

— Psubraty—wołali ci i owi, zaciskając pięście i błyskając gniewnie okiem.

— Każdy obszarnik, to wróg chłopu, sam ustawnawia prawa, aby nas pognać; sam ciśnie nas i wypuszcza całą psiarnię na nas: ekonomów, dozorców, pachciarzy; łączy się z urzędnikami, żydami, z każdym, aby tylko nas gnębić.

— Prawda! Prawda!—mruzcili.

— Pomyślą niektórzy z was: źle, bo źle jest na świecie, tyle szczęścia, że człowiek odetchnie w kościele, w domu Bożym. Prawda, że to nasz kościół, i nie tylko wiejski, ale i parafialny, bo płacimy nie tylko na utrzymanie kościołów i plebanii, ale nawet pracujemy darmo przy budynkach i chlewach plebańskich. Ale kto obsadza probostwa? Kto usuwa księży dobrych dla nas? Komu musi się ksiądz kłaniać, aby nie wypaść z łaski? Tylko obszarnikowi, choćby to był bezbożnik, zdzierca, gwałciciel!

— Zatraceni!

— Przeklęci!

— Podlecyl!—huczało w zgromadzeniu.

— Otóż, moi bracia, te krzywdy i inne, a jest ich bardzo dużo, czuje tylko chłop rolny, bo aż krwawi i zgina się od tych ciężarów, i on jeden może zaradzić na to. Gdybyście mnie wybrali na posła, powiedziałbym wszystkim obszarnikom słowa prawdy, a mówiłbym tak głośno, że posłyszałby mnie cały naród. I pobledliby, zestrachaliby się obszarnicy, poczuliby, że już wybiła ostatnia godzina ich panowania, poznaliby, że lud się wstrząsnął, nabrał siły i żąda od nich rachunku, i za nasze krwawe krzywdy wezmą oni może krwawą pomstę, jeśli sami nie usuną niesprawiedliwości, która nas gniecie.

Skończył.

Rozległy się ogłuszające oklaski i wołania:

— Górą Maciekl!

— Chwat z niego!

- Wybierzmy go!—wołali bliżsi.
- To nasz poseł—krzyczeli z dumą!
- Takiego nam trzeba!

Dopiero po długim dzwonienu uciszyło się i przewodniczący zawołał głośno:

- Stanisław Drewniak ma głos.

Szmer głuchoj niechęci rozległ się w stronie Maćka Brosza, większość jednak zebranych zwróciła się z pewnem zaciekawieniem w stronę nowego mówcy, który, stanawszy na szerokiej ławie, zaczął mówić głosem dźwięcznym, stosując umiejętnie ton głosu do treści przemówiania.

— Do jednego powiatu przyjechał lekarz i głosił wszystkim, że ma lekarstwo na każdą chorobę, która trapi człowieka. Szli więc do niego różni chorzy: i ślepi, i krzywi, i poranieni, także tacy, których bolała głowa, zęby, piersi... A lekarz ten wszystkim tym biedakom nalewał w różne flaszeczki lekarstwo, które miał w jednej wielkiej butli. Jednym ono pomagało, drugim trochę tylko, innym zaszkodziło, a tamtych zabiło; ale lekarz wierzył, że znalazł środek doskonały na wszystkie choroby i dolegliwości, które trapiły ludzi.

— Co to jest? — pytali zgromadzeni po różnych kątach.

— Bajkę opowiada—zaśmiał się ktoś w stronie Brosza.

— Cicho tam! Słuchajcie! — wołali ci, co byli bliżej mówcy.

Drewniak, poczekawszy chwilkę, aż się uciszyło, zaczął mówić żywiej:

— Tacy lekarze trafiają się nie tylko na choroby cielesne, ale i na te, które trapią gospodarke całego kraju. Przed chwilą Maciek Brosz, wyliczając

nasze krzywdy i dolegliwości, znalazł we wszystkich jedną przyczynę, a mianowicie obszarników.

— Bo prawdę rzekł!—zawołano tu i owdzie.

— Jego zdaniem, wystarczyłoby usunąć tylko obszarników, a będzie raj na ziemi, i ustanie zło.

— Oj, byłoby źle!—westchnął ktoś z kąta.

— Moi bracia, istniejących stosunków od jednego zamachu zmienić nie można, do bogactwa i dobrobytu droga trudna i mozolna, wie o tem każdy gospodarz; jakżeż wy nazwalibyście tego, który, mając puste stodoły, liche bydło, izbę duszną, ciemną, brudną, nic nie chce robić, tylko przemyśliwa nad tem, jak wypędzić bogatego sąsiada i sądzi, że zaraz zmieni się wszystko ku dobremu. Napełnią mu się same stodoły, bydło potłuszczej, izba sama się uprzętnie, a on syt i wesół legnie spać! Otóż taką radę daje wam Maciek Brosz; precz z obszarnikami, a będzie wszystko dobrze. Nie, moi bracia, to żadne lekarstwo. Trzeba pracować, i zwolna krok za krokiem dojść do szczęścia i spokoju. Dużo winni obszarnicy, ale dużo i my sami. Ileż spraw ważnych rozstrzyga się w gminie; zróbmyż z nią porządek, wybierajmy zacnych i rządnych do zarządu. Jakie wielkie znaczenie ma rada powiatowa, sami wiecie; wybierajcież włościan mądrych do rady, a źleż wam będzie. Poznajcież swoje prawa i obowiązki, a nie będziecie się strachać obszarników i urzędów.

— Rozumnie mówi—chwalił ten i ów.

— Co racya, to racya!

— Ja wam nie będę obiecywał, że nastraszę obszarników, że jak mnie wybierze, to ustanie krzywda i niesprawiedliwość, ale postaram się, aby gminy złączono z obszarami dworskimi, i aby wszystkie opłaty ponosił obszarnik zarówno z chłopem: drogowe, szkolne, kościelne.

- To byłoby dobrze!
- Zmniejszyliby podatki!
- Zyskałaby dużo gmina!

— O zmianie ustawy łowieckiej mówią głośno sami obszarnicy, bo poznali jej niesprawiedliwość, trzeba więc tylko przypilnować w sejmie, aby nowa ustawa pamiętała o prawach ludu. Będę dążył, aby pomniejsze spory rozstrzygano w gminie bez opłat stemplowych, nie zaś w sądzie, jak dotychczas.

- Te stemple nas zjadają!
- A płać za każde doręczenie!

Westchnienia i ciche skargi rozległy się wokoło. Spokojne rozumowanie Drewniaka zajęło żywo praktyczny zmysł chłopów i trafiło im do przekonania. Logika brała górę nad uczuciem.

— Staraniem mojem będzie usunąć zbyt wysokie i niesprawiedliwe opłaty od spadków i notaryalne.

- Oj to, to!
- Bógby dał!

— A szczególnie zajmę się szkołami naszymi, bo człowiek bez oświecenia nie jest zupełnym człowiekiem, bo tylko ten, co przejrzał, wie, którą drogą, dokąd i jak iść należy, aby dojść do celu szczęścia i spokoju. Te wszystkie ulepszenia i zmiany musimy sobie wywalczyć, zyskiwać zwolna, ale stale. Żadne groźby buntu, zemsty, żadne odgrążania nie pomogą, a nawet mogą zaszkodzić tej jednej, jedynej sprawie, której my wszyscy służyimy, czy kto chodzi w sukmanie, w tużurku, czy sutannie. Jedno nas łączy, jako braci, a to szczęśliwa przyszłość całego kraju.

.

Słowa jego, pełne zapału, poruszyły do głębi uczucia, tkwiące w każdym z jego słuchaczy, bo dotyczyły tej ziemi bogatej w plony, jasnej w promieniach słońca, iskrzącej śniegiem w mrozy, tych gór, lasów, wody, powietrza, które ukochali od wieków, żyli się z niemi, a z utratą ich zmarnieliby i oni...

— Wiwat Stach!

— Górą nasil!

— Niech żyje!

Rozsierdził się Maciek na przemówienie Stacha i na ludzi, przyklaskujących jego wyborowi, zawołał też wielkim głosem:

— Ja przemówię!

Przewodniczący, gdy po dzwonku się uciszyło, rzekł:

— Do głosu zapisał się wpierw Sobek Mączka, gospodarz z Klimkówki.

— Zapiszcież mnie po nim — dorzucił Brosz gniewnie.

— Nie może być, bo już jest Wawrzyniec Gąsiorek,

— Więc ja po nim mówię! — krzyknął Brosz. zły, że inni go uprzedzili.

— Już was zapisał sekretarz, Adam Norek.

— Sobek Mączka ma głos! — zawołał wójt.

Przystąpił wezwany do stołu przewodniczącego, wyprostował się, a był to chłop smukły i silny, przyglądził czuprynę bujną, musnął wąsa i rzekł:

— Wymiarkowałem z rozmów i przed i w czasie zgromadzenia, że w naszym powiecie jest tylko dwóch kandydatów na posłów sejmowych z ludu: Maciek Brosz i Stach Drewniak. Obydwaj oni z dziada pradziada chłopi, kość z kości, krew z krwi naszej; obydwaj lud kochają, bo zeń wyszli; obydwaj chcą

pracować dla naszego dobra i poprawy doli chłopskiej... A może jest i trzeci kandydat chłopski, nasz ludowiec, bo o kielbaśniczym kandydacie mowy nie ma—uśmiechnął się i czekał odpowiedzi.

— Tylko dwóch!

— Ci nasil—zawołali ci i owi.

— Trzeciego niema!

— Otóż powiedział Maćko Brosz, że tej wdowie z powiatu trzeba dać męża, a my mamy go wybrać, będzili to Maćko, czy Stach? Mojem zdaniem, taka pani wielkomocna i wpływowa, nie może mieć męża gwałtownego, porywczego, któryby ją sromocił i jej wydziwiał, ale trzeba jej dać męża rozumnego, cierpliwego, pracującego od świtu do zmroku, to na roli, znów w ogrodzie i wedle bydła, albo co się zdarzy, a takim jest tylko Stach Drewniak.

— Oho, poplecznik!

— Adwokat! — zadrwiono w stronie przeciwnej.

— Nie płatny mam język, jak każdy adwokat, ale chcę dobra całego narodu i dlatego mówię za Stachem. Ani mi w głowie powstało bezcześcić Maćka; znam go, kocha on naród i ujmuje się za nim, gdzie może; ale jest zapalczywy i w swem zacietrzewieniu widzi tylko jeden bat nad chłopem, co go trzyma obszarnik. Kto chce dokonać czegoś na świecie, musi być baczny na wszystko, wyrozumieć błędy drugich, skorzystać z każdej ulgi, i jako pilny gospodarz, każde ziarno chować starannie w śpichrzu, bo przyjdzie czas pożytku. Teraz już nie te czasy, aby zebrać gromadę śmiazków, ukryć się, a potem zastraszyć bogatego, aby oddał kieskę. Mamy konstytucję, mamy prawa, wolno nam ustanawiać nowe przepisy, a obalać stare; zróbmyż to porządnie, po obywatelsku. Naszych postów ludowych może być w sejmie więk-

szość, a jest ich zaledwie kilku, bo my sami chłop wybieramy na naszych obrońców obszarników. Wszystko da się zrobić u nas bez nienawiści, gróźb, strachów, trzeba nam jedności i ludzi rozumnych, znających kraj i prawa jego, a takim jest Stach.

— Prawda! Prawda! — mrużano w zgromadzeniu.

— Otóż nie tracąc czasu, zanim wybierzemy komitet powiatowy, zróbmy próbne głosowanie na Maćka i Stacha; po czyjej stronie padnie większość głosów, ten jest naszym kandydatem, a drugi musi się rzec...

— Zgadzam się! — zawołał Stach czystym, donośnym głosem.

— Ani myślę — mruknął chmurny Brosz. — Zebrałiście swoich i narzucacie waszą wolę.

Przewodniczący zadzwonił i rzekł:

— Takie próbne głosowanie niema żadnego wpływu na wybory prawdziwe, ani u prawyborców, zawsze jednak daje poznać wolę ludu. Sądzę, że Maciek Brosz zgodzi się, bo i po co zaczynać robotę od rozdwojenia.

— Zgódź się! Zgódź się! — wołano z różnych stron.

Spojrzał zły i chmurny na Sobka i Stacha, aż mu zaświeciły białka, widząc jednak, że i jego stronnicy nalegają na odbycie głosowania, odezwał się szorstko:

— Kiedy chcecie, zgadzam się, ale to dodaję, że chociażby jeden tylko stanął przy mnie, nie zrzeknę się kandydatury.

— Twoja wola! Zgoda!

Przewodniczący zarządził, że zwolennicy Brosza staną po lewej, zaś Stacha, po prawej stronie.

Wszczął się hałas i rumor w zgromadzeniu; ci tych, tamci owych ciągnęli na swą stronę, nawołując się, prosząc, gniewając i odgrażając. Sekretarz rozdzielił na szerokość ławy obie strony, a przewodniczący i sekretarz stanęli na krzesła i policzyli, wreszcie ogłosił wójt:

— Większość za Stachem Drewniakiem!

— Kłamstwo! Nieprawda! — zawołała strona przeciwna.

— Chodźcie sami, Maćku, i przekonajcie się naocznie.

Brosz chmurny odpowiedział:

— Wierzę wam, wójtce, na słowo... Ale to ni-jakiego znaczenia niema na wybory, bo koło mnie też kupa zacna.

— Toć wam to mówiłem i powtarzam.

W tej chwili stronnicy Stacha porwali go w ramiona i podnieśli w górę, wołając radośnie:

— Wiwat Stach! Wiwat nasz poseł!

Zrobił się wielki rumor i gwałt w całym zgromadzeniu; jedni cieszyli się odniesionem zwycięstwem, inni krzywili się, mówiąc z drwinami:

— Obaczym, kto zwycięży na wyborach!

— To wybory na żart, i poseł ich na żart!

Jednak starsi i poważniejsi gospodarze szli do Maćka Brosza i mówili:

— Ustąpcie, Maćku, nie rozrywajcie jedności! toć przy tamtym większość.

— Zauszników jego—odparł surowo.—Obaczym, ilu wyjdzie ich z prawyborów.

— Mówi gniew i zawiesz przez was: gdzież go stać na kupno tyłu gospodarzy? — tłumaczył mu drugi.

— Nic mi po waszem gadaniu; ustąpię wobec

wyborów rzetelnych, a teraz nie; takim ja dobry, jak i on.

— To się wie, ale co wola narodu, to musicie uszanować.

— Szanuję naród, ale nie popleczników paniczka, co chłopą udaje.

Widząc, że nic nie wskórają, bo zaciął się chłop srodze, zaczęli go opuszczać, wtem krzyknął ktoś od chaty:

— Żandarmi idą!

Zaszumiało w zgromadzeniu, jak w ulu, nagle się uciszyło, i w otwartych wrotach stodóły stanęli trzej żandarmi, a wachmistrz zawołał głośno:

— Gdzie gospodarz?

— Tu jestem — odezwał się Bartuś w pobliżu przewodniczącego.

— Rozstąpcie się! — brzmiał rozkaz żandarma.

Przez utworzony z uczestników szpaler szli trzej żandarmi do stołu przewodniczącego.

Stanęli.

— Gospodarz?

— Ja, Bartuś Wiącek.

— Co to za zebranie?

— Zgromadzenie poufne za zaproszeniami.

— Kto spraszał?

— Ja i Sobek Mączka, gospodarz z Klimkówki.

Odpowiedzi spisywał wachmistrz w notatniku, i spytał:

— Pozwolenie ze starostwa macie?

— Nie mamy.

— Jakiem więc prawem ośmielacie się gromadzić ludzi, knuć jakieś spiski?... Rozchodzić się

w tej chwili, a was dwóch zapraszających podam do kary...

W tej chwili stanął u stołu Stach Drewniak, precyzyjnie się przez milczącą gromadę ludzi, i zwrócił się do wachmistrza.

— Według ustawy wyborczej, zatwierdzonej przez rząd, zgromadzenie poufne zbiera się bez zawiadomienia i pozwolenia starostwa, jak panu wiadomo.

— Kto pan?

— Stanisław Drewniak z Bruśnika.

— Co pan tu adwokatujesz? — zadrwił wachmistrz. — Wiemy już o panu; to zgromadzenie jest pańską robotą.

— Myli się pan: jestem zaproszony — tu wyjął kartkę — podobnie, jak ci wszyscy.

— Gdzie spis zaproszonych?

— Oto jest — podał arkusz sekretarz. — A tu porządek wydanych zaproszeń.

Wachmistrz przejrzał spis, schował do kieszeni, następnie zajrzał do książki zaproszeń.

— Hej, Bartuś Wiącek i Sobek Mączka, wy, coście zapraszali!

Obadwaj stanęli przed wachmistrzem.

— Czy znacie osobiście wszystkich zaproszonych?...

— Znamy.

Wachmistrz spojrzął na zebranych i wskazując na jednego, spytał Sobka:

— Ten, jak się nazywa?

— Walenty Smoleń z Roźniat.

Karta zaproszenia, którą podał nazwany, brzmiała tak samo.

Po kilku pomyślnych próbach, rzekł wachmistrz:

— Hm... ta część przepisów jest, co prawda, w porządku, jednak zgromadzenie takie może się odbywać w sali...

— Początkowo zagailiśmy je w izbie, i tam miało się odbyć zgromadzenie, jednak wobec ilości uczestników i dusznej izby przenieśliśmy się tu.

— To jest przeciwne ustawie — zawołał wachmistrz. — Stodoła nie daje wymaganego bezpieczeństwa...

— Ależ, panie wachmistrzu — odezwał się wójt—spójrz pan na zebranych: każdy jest gospodarzem, i to w latach; niema tu chłopców, ani młodzików.

— Przepisy nie wspominają o wieku zgromadzonych; posiedzenia w takich budynkach są wzbrowione.

— Pan wachmistrz ma zupełną słuszność — wmieszał się Stach do rozmowy — przepis jest wyraźny... Więc pozwoli pan wachmistrz, że natychmiast przeniesiemy się do izby w chacie; tym sposobem wypełnimy wszystkie warunki wymagane.

Wachmistrz spojrział niezdecydowany po zgromadzonych, z których wielu zawołało:

— Prosimy! Prosimy!

— Przenieście się do chaty — uśmiechnął się wachmistrz—chociaż, powiem wam prawdę, że na nic się nie zdadzą wasze zgromadzenia i nie wybieriecie posła waszego.

— Jak Bóg da — odpowiedział wójt, gdy inni uśmiechnęli się lekceważąco, słysząc te słowa wachmistrza.

Szybko przeniesiono ławy i stołki do izby, któ-

ra szczelnie zapełniła się sproszonymi, część stanęła w sieni, a inni stanęli na dworze przed oknami. Kilka sąsiadek, zwabionych zjawieniem się żandarmów, przyszło również na zgromadzenie i chociaż ci już odeszli, stanęły opodal.

Gdy jaki taki nastął porządek, zadzwonił przewodniczący, mówiąc:

— Gospodarz Wawrzyniec Gąsiorek ma głos.

Wysunął się na izbę człowiek niski, krępy, o szerokich barkach, pogładził łysinę i rzekł:

— Jakoś Bóg nam poszczęścił i trafił się na to nasze zgromadzenie ludzki wachmistrz; bo w naszych stronach dwa zgromadzenia rozwiązano i straciliśmy czas napróżno. Gdy nas tedy zostawiono w spokoju, korzystajmy z tego, bracia, i wybierzmy komitet ludowy. Praca czeka ich wielka, bo w każdej wsi muszą oświecać naród, że najważniejsza rzecz, to wybór delegatów na prawyborach i związanie ich słowem uczciwego człowieka, że nie połakomią się na kiełbasę, wódkę, srebrniki... ale będą głosowali na kandydata naszego.

— To grunt—zawołał ktoś z boku.

— Zaprzysiądz ich na świętą Ewangelię, że nie zdradzą naszej sprawy—odezwał się inny.

— Otóż myślę — mówił dalej Gąsiorek — że nie zawadziłoby wziąć do komitetu ze dwanaście chłopów...

— Mało! — krzyknął ktoś z sieni. — Nie zdążą objechać powiatu.

— Poczekajcież, bo nie skończyłem swego — rzekł mówca popędliwiej — przyjdzie kolej na was, będziecie gadali. Wracam tedy do przedmiotu. Jak mówiłem, wybierzmy dziś dwunastu, aby tylko chę-

tnych gospodarzy, którym dobro ludu leży na sercu. To ich rzecz podzielić powiat cały pomiędzy siebie, i tak robić, aby ich starania nie poszły na marne. Ten mój wniosek proszę poddać pod głosowanie.

Wśród gwaru narad, gdy wójt zabierał się do sformułowania wniosku, zawołał Stach Drewniak:

— W kwestyi formalnej proszę o głos.

— A w jakiej?—spytał przewodniczący.

— W sprawie wniosku gospodarza Gąsiorka.

Przewodniczący zadzwonił, mówiąc:

— Stanisław Drewniak w sprawie formalnej ma głos.

— Popieram wniosek gospodarza Gąsiorka wyboru komitetu włościańskiego z dwunastu osób, z tą jednak zmianą, że zostawia się wybranym zupełną swobodę uzupełnienia komitetu w miarę potrzeby, aby jednak przyjęcie nowego członka zawisło od zgody większości komitetowych, wybranych na dzisiejszem zgromadzeniu, zarazem włożyć na komitetowych obowiązek zwoływania wieców i zgromadzeń.

Przewodniczący sformułował wniosek, który przez aklamację przyjęto.

— A teraz, mili bracia, przystąpmy do wyborów komitetowych — zaczął wójt. — Kto czuje się na siłach i ma ochotę, poda swe imię i nazwisko, sekretarz zapisze, a potem nastąpi głosowanie. Uprzedzam was jednak, że wprawdzie to honor być komitetowym, ale i odpowiedzialność wielka, bo nie dość, że trzeba naród oświecić, ale musi się przypilnować prawyborów i pobudzać lud do czynności. Bywa bowiem i tak, że urzędnik, przeznaczony ze starostwa na prawyборы, zapowie swój przyjazd na szóstą rano, a wpadnie na chwilę dopiero z południa, i kilku pra-

wyborców wybierze delegata. Prawda, że wybór taki nie ważny, ale zanim dadzą odpowiedź na skargę, już i po wyborach, wtedy szukaj twej krzywdy, jak wiatru w polu.

— Wójt Jan Rudnik komitetowym—zawołano od okna.

— Dziękuję za dobre słowo — skłonił się przewodniczący—ale jam stary i mam na głowie wójtowstwo, a w czasie wyborów dużo jest roboty. Wybierzcie młodszych, silniejszych...

Na komitetowych zgłosiło się więcej kandydatów, aniżeli wymagał wniosek, więc nad poszczególными przyszło do głosowania, co zabrało sporo czasu.

Już zaczęło się ściemniać w izbie, gdy chłopci, stojący pod oknami, zawołali do innych:

— Komisarz idzie!

Przez podwórze wprost do izby szedł komisarz starostwa, w czapce mundurowej z orzełkiem, a za nim trzech żandarmów, którzy byli poprzednio...

Był to niski człowiek, szatyn siwiejący, z małemi bokobrodami, i zanim przestąpił próg chaty, krzyknął ostrym głosem:

— Na bok! Rozstąpcie się!

Niektórzy, bliżsi w sieni i ci, co stali przed oknami, zaczęli się chyłkiem wynosić z podwórza, obawiając się spotkania z panem komisarzem, który wszedł do izby w czapce na głowie i spytał surowo:

— Gdzie przewodniczący?

— Jestem, panie komisarzu — i skłonił się nisko.

— To ty, wójt z Bogucic — zaśmiał się drwią-

co — nie wstydzisz się być z tą zbieraniną... Zapiszę to sobie w pamięci.

— Panie komisarzu, to sami gospodarze — mówił wójt pokornie.

— Dobrzy mi gospodarze, co schodzą się ukradkiem i knują spiski, a ty ich zastaniasz swoim wójtostwem... O czym radziliście? co gadaliście? Odpowiadaj... słyszysz?

Pomruk niezadowolenia przeszedł przez tłum. Komisarz spojrział wyzywająco na zebranych i zawołał z uśmiechem ironicznym:

— Cicho. Co to za głosy? Milczeć i słuchać... Zaraz przyjdzie kolej i na was... A ty mów, co tu było?

Zanim wójt zdobył się na odpowiedź, już stanął młody Drewniak przed komisarzem i rzekł surowym głosem:

— Zwracam uwagę pana, że według obowiązujących ustaw, nie ma pan prawa żądać, a my obowiązku zawiadamiać pana o rezultatach poufnego zgromadzenia.

Na razie przedstawiciel władzy milczał zdziwiony, wreszcie wybuchnął:

— Kto pan? Co to jest? Nie pan będziesz mnie uczył, co jest mojem prawem!

— Jestem Stanisław Drewniak, nauczyciel gimnazjalny i nie ja pana uczę, ale poucza nas wszystkich zatwierdzona przez rząd ustawa.

— To jakiś włóczęga! Hej, żandarm, aresztować go!

Szmer groźnego niezadowolenia wzmógł się; z kątów odzywały się głosy oburzenia, a Drewniak z uśmiechem wyjął certyfikat nominacji i udzielenia urlopu, podał komisarzowi, mówiąc:

— Oto dowody, że jestem obywatelem Galicyi i urzędnikiem państwowym.

— Kto mi zaręczy, że pan jesteś tym, na którego opiewają dokumenty? — spytał mniej szorstkim głosem.

— My wszyscy! — zahuczało w izbie.

Urzędnik spojrział wokoło, nie podobały mu się te groźne twarze; ale nabrał odwagi, widząc w przodu żandarma.

— Na ten raz ujdzie to panu... Ale uprzedzam, nie mieszaj się pan do rzeczy nie swoich.

— Jestem jednym z uczestników zgromadzenia, przysługuje mi więc prawo obrony towarzyszków... W naszym zgromadzeniu nie zaszło nic przeciwnego prawom. Zebraliśmy się w lokalu, znamy zgromadzonych i każdy ma kartę, wzywającą go na te narady.

— I panu zdaje się, że wszystko w porządku? — zaśmiał się sucho.

— Nietylko mnie, jako uczestnikowi, ale i pan, jako stróż prawa, nie znajdzie tu nic do zarzucenia.

— Tak?... No, a ci chłopci za oknem, czy są w sali?... A ty — zwrócił się do kobiety w sieni — pokaż mi kartę zapraszającą.

— Ja? ja? — bąkała zastraszona. — Tylko co przyszłam...

— Cóż, panie Drewniak?! — zawołał z tryumfem — zachowane są przepisy?

— Posiedzenie zostało przerwane wejściem pana, tem samem przestało być poufną naradą zaproszonych.

— Wykręty! — zaśmiał się. — Z chłopami tak pan mów, może ich omamisz, ale nie ze mną, mój panie Drewniak.

— Zechciej pan swój sarkazm zachować dla służby, zależnej od kaprysów pana, a tu proszę o przyzwoite zachowanie się. Wszedłeś pan w czapce do izby, nazwałś pan zgromadzonych zbieraniną i uważasz pan za stosowne ubliżać mi osobiście.

— Nauk pana nie potrzebuję — zawołał lekko zmieszany.

— Nie ja ich udzielię, ale pan starosta, namiestnik lub minister.

— Dobrze, dobrze—zaśmiał się nerwowo — nie zabieraj mi pan czasu... Słuchajcie... Zgromadzenie rozwiązuję!

— Ale dlaczego?—zawołano.

— My w prawie — mówili inni, ośmieleni wystąpieniem Drewniaka.

— Mógłbym rozwiązać, bo niektórzy stali przed oknem, bo jedna z zaproszonych nie miała karty... Ale pominię te niewłaściwości... Rozwiązuję z polecenia władzy, bo wasze zgromadzenie grozi spokojowi i porządkowi publicznemu... Rozchodźcie się!... Hej, żandarmi, uprzątnijcie izbę — i wyszedł z miną dumną, pewny siebie. Zapalił przy bryczce cygaro i czekał na raport żandarma, który, wydaliwszy ludzi z izby, meldował:

— Panie komisarzu, izba pusta.

— Dopilnować, ażeby się rozeszli. — Siadł na bryczkę i pojechał.

— Jak się nazywa ten komisarz?—spytał wójta Drewniak.

— Mikołaj Silnicki.

— Czy on zawsze taki?

— Nie. Jest nawet grzeczny i uczynny w swoim biurze. Coś go ukąsiło, albo... dostał rozkaz.

Chłopi z wolna kietznali konie, wytaczali wózki, zabierając się w drogę. Wybrani do komitetu porozumiewali się cicho o miejsce zjazdu. Wszyscy jednak byli wzburzeni zachowaniem się komisarza, a Maciek Brosz tłumaczył:

— Wiecie, dlaczego ten komisarz taki pies?... Bo syn obszarnika; oni wszyscy, bij zabij na chłopca.

— Prawda! Prawda! — potakiwano, a swoją drogą, wystąpienie Drewniaka bardzo im się podobało i napełniało dumą, że chłopski syn nie dał się komisarzowi i wszyscy, z wyjątkiem tylko Brosza, szli do niego, ażeby się pożegnać i uścisnąć jego rękę, a szeptali półgłosem z wielkim zadowoleniem pomiędzy sobą:

— Taki to się nie da. Zna swoje prawa.

VII.

Nastały żniwa.

Od szarego świtania do ciemnego zmroku rozlegały się na polach gwary ludzkich głosów, wesole nawoływania, skoczne piosenki, dźwięczne śmiechy dzieci i poryki bydła.

Nachylone robotnice garściami kładły na ścierniku żłte sierpem zboże; w jasnym słońcu pobłyskiwały kosy, zanurzając się rytmicznie w gęstwą zboża, złotawego w promieniach słońca na jasnym, bezchmurnem niebie.

I chociaż z ciężkiej pracy pot spływał kroplami, lgnęła koszula do mokrego ciała, panowała ogólna wesołość, bo już minęły chwile głodu i biedy. Zdawało się ludziom, że chaty wypiękniały, stodoły wyglądały odświeżenie, czekając przybycia zboża, bydło było rozradowane, nawet koguty piałły weselej, bo w serca ludzkie wstąpiła nadzieja spokoju i dostatku chleba. Jedna tylko troska zasępiała gospodarzów, aby za pogody zwieźć zboże z pola.

Wśród gorączkowej, natężonej pracy nie było wiele sposobności zająć się wyborami, tylko czasami jakiś przejezdny gospodarz rzucił nowinę o nowych rozporządzeniach starosty, o poleceniach rady powiatowej, o czynnościach wójtów, i dopiero wieczorami z chaty do chaty przebiegała wieść o zasłyszanych rzeczach.

Cała rodzina Drewniaków, z wyjątkiem nieobecnego Stacha, pracowała w polu od świtu do zmroku, jedno tylko zdziwiło Drewniakową, że mąż jej, ubrawszy się odświeżenie, już dwukrotnie chodził do dworu i wracał chmurny i opryskliwy.

— Czego wołali ciebie?—dopytywała się.

— Alboż ja wiem? Kazali przyjść, to i poszedłem.

— I cóż?

— Raz byli goście we dworze, a drugi raz pan spał.

— Pójdiesz jeszcze?

— Co mam robić? Jak trzeba, to trzeba.

Rozdając wieszakę późnym wieczorem, westchnęła matka:

— Gdzie ten nasz Stach teraz?

— Może w Lisowcu—odezwała się siostra, młoda, ładna szatynka.

— Zapomniałaś, czy co? — zawołała matka. — Toć od tygodnia gdzieś wyjechał.

— Mówił mi dziś — rzekł stary, przerywając jedzenie—nasz kmostr, że gdziesik na końcu powiatu uwija się Stach.

— Zapracuje się on i zmarnieje z tych ciągłych rozjazdów—westchnęła.

— Ii, nic mu nie będzie; taki młody jest wytrzymały.

— Co innego twardy chłop, a co innego takie delikatne dziecko—dorzuciła matka.

Po skończonej wieczerzy Drewniak, nałożywszy fajkę, poszedł ją wypalić przed chatę, siadł na przyzbie i rozmyślał, kiedyby było najdogodniej pójść do dworu, aby zastać pana, a sobie nie zepsować dnia i roboty.

Noc była pogodna, cicha, z mnóstwem gwiazd na ciemnym błękiecie, a gdzieś na skraju nieboskłonu wyszedł blady miesiącek na młodziku.

Drewniak słyszał chrupotanie konia w stajence, głośnie mlaskania przeżuwiającej krowy, pomruki podświnka w chlewie, pokwakiwania sennych kaczek. Rozeznawał wszystkie odgłosy, dochodzące go z chat sąsiednich; to nawoływała Marycha rozbiegłe kury; tam u Badyłów skrzypi żóraw; pewno Boruń podpił, bo hałasuje; teraz ryknęła wiśniocha, ładne bydłę, mleczna krowa, hej, gdyby się takiej doczekać!

— Dobry wieczór! — odezwał się głos z drogi wiejskiej.

— Dobre zdrowie, Pawle, a zkąd wracacie?

— Z pola, od koni, czy dobrze uwiązane, aby mi zasie nie zrobiły szkody w owsie.

— I cóż?

— Chłopak, choć to pędrak taki, ale dobrze się sprawił... Słyszeliście nowinę?

— Albo o jednej ludzie mówią? Nie wiem, o którą pytacie?

— Wedle wyborów.

— Tak? — wstał i ciężko stąpając, zbliżył się do opłotków.—Cóż mówią?

— Ano, przyszło do wójta z urzędu, że za trzy niedziele wybory do sejmu.

— Bójcież się Boga, tak prędko!—zawołał głośno Drewniak.

— Przyśpieszyli. Jak powiadają, zlekli się narodu, że po żniwach, mając czas wolny, pójdzie ława na wybory.

Drewniak, słysząc w sieniach chaty szelest, zwrócił się w tę stronę, mówiąc:

— Matko, a słyszysz?

— Co takiego?—odezwała się stając w progu.

— Wybory rozpisane.

— Kto mówił?—spytała, zbliżając się do stojącego męża.

— Ja mówię — rzekł Paweł Grzęda — za trzy niedziele wybory.

— A nie słyszeliście czego o naszym Stachu?—zapytała z troskliwością.

— Czemużbym nie miał słyszeć? Cały powiat mówi o nim.

— I co takiego? Gdzie jest? Co robi?

— Sypiecie pytaniami, jak z worka — zaśmiał się sąsiad.

— Zwyczajnie, jak kobieta i matka — usprawiedliwił mąż.—Cóż słyszeliście, Pawle?

— Mówią, że od żniw chodził po Lisowcu, Sła-

węcinie, Klimkówce i precz dalej, aż do krańców powiatu, a wieczorami zbierał ludzi i mówił o wyborach.

— Tylko tyle, to i my wiemy.

— Ba, ale tej nie wiecie, że gdzie się ruszył, to za nim szli strażniki, ani jednego zgromadzenia nie zebrał, bo zaraz rozwiązało.

— Zawzięte psiajuchy—mruknął stary Drewniak.

— Nic nie wadzi — zaśmiał się Paweł — naród się oburza, tem lepiej dla nas. Drzewiej lękał się każdego, a teraz nawet komisarzowi się stawia.

— Chwała Bogu, że ogłoszono wybory, teraz nikt nie ma prawa zakazać zgromadzenia, każdy, byleby chciał, może zwołać ludzi i radzić.

— Jakże zbierać naród, kiedy w polu teraz taka pilna robota?—uśmiechnął się sąsiad Paweł. — Polityka nie da chleba, i co mi po wyborach, jak mrę głodem.

— Wasza racya, ale jedno drugiemu nie wadzi — rzekł Drewniak. — Jaki tydzień i już u nas po żniwach.

— I to prawda—przyświadczył Paweł.—A wiecie, nie pamiętam takich wyborów: naród się zawzięł i nie chce słuchać ani starostwa, ani rady, jeno swego chce wybrać. Okrutnie kręcą się wszyscy z urzędów, co który z naszych nie chce na posła dziedzica, precz fantują i kary nakładają.

— To podlecyc—mruknęła Drewniakowa.

— Powiadam wam, że Bartusiowi ze Sławęcina i Sobkowi z Klimkówki nałożyli kar do trzydziestu reńskich, a obornik koło stajni kazali zasypać.

— Nie może być, aby byli takie Tatary — obruszył się Drewniak. — Toż obornik, to jak złoto dla roli.

— Ano, kazali, przyjechał wójt, pisarz i żandarmi, swoje zrobili i koniec.

— Boga w sercu nie mieli! — zawołał stary. — Co im wadzi obornik?

— Mówią, że to wedle chorób i zarazy.

— Widzicie ich, toż wszystkim wiadomo, że co choroba, albo zaraza precz z miasta do nas idzie.

— To się wie, ale tłómacz głupim.

— Może nie tyle głupim, co zawziętym — mruknął Drewniak.

— Wasza racya, bo tych, co za szlachcicem, nie tykają, duszą tylko naszych.

— I nic nam nie zrobią. Jeżeli wytrzymaliśmy tyle, przetrzymamy i to, a zawsze ostaniemy na roli.

— Któżby został, jak nie my?—rzekł z zadowoleniem Paweł.—Szlachcic chce tylko panowania, a że nie te czasy, to i marnieje, nie szukając daleko, nasz; żyd nie sposobny do roli, tylko do szachrajstwa, a co z miasta, to nic po takim, ani roli nie rozumie, ani handlu nie zna.

— Hm... Pan Bóg sprawiedliwy, nam dał rozum do roli, a drugim wedle innych rzeczy.

— Chociaż, moiściewy, jak się trafi chłop, to na wszystko rozumny i każdemu poradzi.

— Ba, bywają i tacy.

Po chwili milczenia spytał Drewniak:

— A nie słyszeliście o Maćku Broszu?

— Mówią, że się zawziął do posłowania, ani zniw, ani chałupy nie pilnuje, jeno jeździ to tu, to tam i rajcuje.

— Że też mu nie żal gospodarki — westchnął Drewniak—a słyszałem, że pola ma dostatek.

— Powiada, że wszystko odbije na poselstwie, jeno mówią ludzie, że wasz będzie górą, bo ma drzejszy.

— Nie dziwota, tyle lat się uczył—dodał ojciec z dumą.

— Wiedzą o tem ludzie, ale bywało nie jeden się uczy, a jest bez rozumu, a ten wam się udał.

— Święta prawda! — zawołała Drewniakowa. — Ze świecą poszukać, a i tak nie znalazłby drugiego, jak nasz Stach, takie to dobre, usłuchane, kochające dziecko.

— My to wiemy—przyświadczył Paweł.—Ano, bywajcie, czas na spoczynek.

— Dobranoc. A co jutro?...

— Zwożę do stodoły; trzeba korzystać z pogody.

— Zrobię i ja to samo, niewiele tego u mnie, ale co zebrane za pogody, to i omłotne.

— Dobranoc!

— Idźcie z Bogiem. Dobranoc!

— Chodź do izby, legnij sobie — doradzała żona.

— Zaraz, ino opatrzę stajnię.

Zajrzał do konia, do krów i znów siadł na progu chaty. Rozmyślał nad posłyszaniem nowinami.

Wybory rozpisane, wie, że Stach nie ustąpi, ale nie na to się pozbył syna z chaty, aby nie utargować na dziedzicu, był już dwa razy, odprawiono go z niczem, pójdzie trzeci raz, i chociażby miał cały dzień zmarnować, musi pogadać z panem. Możeby jednak zwieźć żyto z pola, póki dopisuje pogoda? Spojrzał na niebo, na błyszczące gwiazdy i księżyc jasny, którego sierp podniósł się już w górę. Kilka

dni pogoda wytrzyma, rozumował, a bądź co bądź, przed wyborami musi zobaczyć się z panem.

Nazajutrz dobrze przed południem stary Drewniak, ubrawszy się odświętnie, podążył do dworu, i tym razem o tyle był szczęśliwy, że spotkał pana na podwórzu, powracającego ze stajni.

Przyśpieszył kroku i schyliwszy się kapeluszem do kolan, przywitał pana.

— A, to ty Drewniak?! Co mi powiesz?

— Przyszedłem do wielmożnego dziedzica z tem, że postuchałem rozkazu.

— Jakiego?

— Kazał wielmożny dziedzic, aby syn mój wyjechał z Bruśnik, stało się wedle woli... Tego samego dnia, jak byłem we dworze, wyprawiłem syna wieczorem, bo nam potrzeba żyć w zgodzie z wielmożnym dziedzicem i słuchać rozkazów.

— To mnie cieszy, tak być powinno... Gdzież twój syn?

— Listu żadnego nie było; pewno pojechał do miasta.

— Tak? Mówiono mi jednak, że kręci się po naszym powiecie?

— Nie wiem, nie pisał do mnie.

— Czegoż ty chcesz?

— Przyszedłem do wielmożnego dziedzica względem tej łąki na ubrzeziu.

— Ach, to ten klin! Pamiętam... Ale to, kochanku, dopiero po wyborach, dopiero po wyborach, dopiero, gdy zobaczę, jak wy się sprawujecie.

— Ja zawsze byłem spokojny, gdzie mnie biednemu mieszać się do wyborów, a syna niema w mojej chacie

— Wszystko jedno, przyjdiesz do mnie po wyborach—i szedł w kierunku dworu.

— To dopraszam się łaski wielmożnego dziedzica wedle wypasu — prosił pokornie.

— Później, później...

— Niech wielmożny dziedzic się zlituje i da choć furkę drzewa, bo wali się chlew i szopa.

— Jakiego drzewa?

— Wielmożny dziedzic sam mi obiecał... Tyle złomu leży w lesie, dopraszam się tej łaski.

— Hm... drzewa...

— Posłuchałem rozkazu, wyzbyłem się syna, proszę pokornie...

— Dobrze, już dobrze, nie nudź mnie, dam ci kwitek...

— Na jedną jodełkę i trochę chrustu.

— To już będzie dwie fury — uśmiechnął się.

— Zabiorę na jedną.

— Zaczekajże tu, dostaniesz kwit na jodełkę.

— I na chrust—prosił Drewniak.

— I na chrust—powtórzył pan Świetnoski, idąc przez zajazd do dworu.

Chłop oparł się o sztachety i czekał, rozmyślając nad słowami pana. Łąki, co prawda, nie dostał, ale też i nie bardzo jej się spodziewał; wypas narażenie mu niepotrzebny, ale chciał dostać drzewo z lasu i dostanie. Szlacheć myślał, że mnie przekupił, że wyrzeknę się krwi swojej, a niech sobie myśli, co mi to szkodzi? Od swego nie odstąpię, a zawsze drzewo mieć będę. Dopuszczy sobie od Pawła drugiego konia, weźmie długi wóz i nabierze drzewa, co konie udźwigną; byle ruszyć z lasu, w polu może zrzucić część drzewa z fury i powrócić po nie, gdy

jedno odwiezie. Bądź co bądź, zyskał na tym interesie, nic nie zrobił, a drzewo dostał.

Takiem rozmyślaniami skracał sobie czas oczekiwania, spojrzął na słońce, już blizkie południa, a kwitu nie ma i nie ma. A może pan zażartował z niego, kazał mu czekać i odprawi z niczem? Zawrzał w nim gniew i cicho zaklął... Jednak pan mógł zapomnieć o kwicie? Co tu robić? Do kogo się udać?

Tam w polu czeka na niego robota, a on musi stać beczynnie i wyczekiwać... Gdyby chociaż kwit otrzymał i dostał drzewo darmo... Lecz jeśli dzień straci i kwitu nie otrzyma?

Uderzyły na niego poty i zgrzytnął zębami ze złości, patrząc z nienawiścią na dwór, Wtem posłyszał za sobą szelest sukni, odwrócił się i spostrzegł zbliżającą się panią Świetnoską. Skłonił się pokornie.

— Czy macie interes do dworu?— spytała łagodnym głosem.

— Wielmożny dziedzie kazał mi tu czekać na kwit do lasu.

— Dawno?

— O, już kawał czasu.

Skinęła na przechodzącego lokaja, rozkazując:

— Idź do pana, przynieś kwit do lasu dla tego człowieka.

— Pokornie dziękuję wielmożnej dziedzicze — i ucałował jej rękę.

— Jak wy się nazywacie?

— Walenty Drewniak!

— Ach, Drewniak! Czy jesteś ojcem tego, tego młodego...

— Tak, wielmożna dziedziczko, Stach, to jest mój syn.

— Czy on u was w domu?

— Nie, wielmożna dziedziczko, wyjechał już dawno.

— I dobry syn z niego?

— Lepszego chyba niema.

— No, proszę, a ja myślałam, że on o was zapomniiał.

— Nie może być, to bardzo dobry i usłuchany syn.

— W takim razie poradzcie mu, aby się nie mieszał do wyborów, bo popsuje sobie całą przyszłość.

— To samo mówił mi wielmożny pan dziedzic, a ja powtórzyłem Stachowi.

— I cóż?—dopytywała się pani.

— Wyjechał z Bruśnika i tyle.

— Gdzież jest?

— Nie wiem, pewno w mieście.

Nadbiegł lokaj i podał pani karteczkę, przejrzała i wręczając chłopu, mówiła:

— Macie tu kwit do lasu... A pamiętajcie, uprzedźcie syna, że może z nim być źle, jeśli się nie uspokoi.

— Słucham wielmożnej dziedziczki i powiem mu to.

Zbliżył się do pani i z pokorą ucałował rękę w rękawicze, mówiąc:

— Dziękuję wielmożnej dziedziczce i Panu Bogu polecam.

— Idźcie z Bogiem, a pamiętajcie o moich słowach, bo szkoda byłoby takiego dobrego syna.

— Nie zapomnę—rzekł na odchodnym.—Z Bogiem zostawiam.

Pani Świetnoska zwolna szła przez drogę zajazdową ku gankowi dworu. Z pewnem zadowoleniem rozmyślała, że swoją przemową do chłopów osłabiła, bądź co bądź, energią młodego Drewniaka, bo gdy rodzina zacznie młodego przestrzegać i wróżyć mu nieszczęście, musi to wpłynąć na niego i kto wie, czy nie cofnie swej kandydatury, chociażby w ostatniej chwili.

Na ganku spostrzegła męża, rozmawiającego z Irenką i Bolesiem, szatynem szesnastoletnim, w mundurku gimnazyjalnym chyrowskim.

Przyśpieszyła kroku, a zbliżywszy się, rzekła:

— Muszę ci, Stefku, powinszować...

— Czego?

— Ujarznienia Drewniaków.

— Nie kosztowało mnie zbyt wiele, co? — zaśmiał się. — Trochę marnego drzewa i wziąłem ich... Znam ja swoich chłopów...

— Jacy oni jednak są bez serca i brudni, chciwi—mówiła z grymasem obrzydzenia, siadając na ławce.

— Co się stało, mamó?—spytała Irenka.

— Zwykła rzecz—uśmiechnął się ojciec—tylko mama nieprzyzwyczajona gorszy się niepotrzebnie, a to taka zwyczajna sprawa.

— Cóż takiego?—dopytywała się córka.

— Wyobraź sobie, Irenko—zaczęła matka—że Drewniak za marną furę drzewa nie tylko odstąpił swoich, ale wyrzekł się syna.

— Nie rozumiem.

— Wiesz przecież—tłómaczył ojciec—że Drewniaczy, ojciec i syn, awanturowali się w naszej wsi, a ostatni chce nawet zostać posłem. Otóż zawołałem starego i powiedziałem mu, że w swojej wsi chce mieć spokój, no i dopiąłem swego.

— Jaki to brak honoru, uczucia — ganiła matka — już nie mówię o przekonaniach, bo tych trudno wymagać od chłopów, ale sądziłem, że mają uczucia rodzicielskie...

— Także chciałaś — zaśmiał się. — Chłop odda wszystko za łąkę, wypas, drzewo... Najlepszy przykład masz na Drewniaku.

— U nas podobne zachowanie — oburzyła się panna Irena — uchodziłoby za hańbę.

— U nas! Co innego my — rzekł ojciec z dumą — my wiemy, co to jest honor, przekonania i służba dla kraju... Ale chłopci — uśmiechnął się drwiąco — im wystarczy wypas i las. No, i tacy ludzie chcą z nami zasiadać w sejmie i radzić o nas. Kiedyś, w przyszłości, nikt nie zechce wierzyć w podobne stosunki, a jednak nasza szanowna konstytucya doprowadziła nas do tego.

— Stefku, ty naprawdę ratujesz honor kraju! — zawołała żona z uznaniem.

— Wiem o tem — odpowiedział z powagą — i dlatego zdecydowałem się na konkurencyę z chłopem.

— Jakto, papo? — spytał syn.

— Aby nie dopuścić wyboru chłopca do sejmu — objaśniła matka — papa kandyduje na posła z kuryi włościańskiej.

— Papa będzie wybrany przez chłopów, nie ze szlachty? — zawołał zaczerwieniony Bolesław. — Ale to prawie upokorzenie!

— Mój kochany — rzekł ojciec z powagą — są chwile, w których ofiara jest obowiązkiem obywatela.

— Ależ, papo, to chłopci!

— Trudno, moje dziecko, może ty dożyjesz innych czasów; my musimy ulegać konieczności.

— Ci chłopcy to jednak inny gatunek ludzi—zawyrokowała panna Irena.

— Masz słuszność — przyświadczyła matka. — Instynkty brudne, materyalne, samolubne nas oburzają; nie w nich niema szlachetnego i idealnego.

— Dumny jestem, że urodziłem się szlachcicem—zawołał Bolesław.

— Tyś mój syn rodzony — rozczulił się ojciec i poklepał syna po ramieniu.

— Obiad podany—oznajmił lokaj.

W czasie obiadu rozmowa toczyła się o żniwach, dzieciach, służbie; pani jednak, pamiętając o wyborach, odezwała się:

— Dawno widziałeś Szaję?

— Kilka dni temu.

— Nie mówił ci nic o żydach w miasteczku?

— Nie.

— To dziwne... Może należałoby posłać go na wywiady?

— Pomyślę o tem.

Lokaj, przysłuchujący się rozmowie, rzekł:

— Szaja z jakimś drugim żydem czeka.

— Czemużeś nie powiedział?

— Czekałem końca obiadu.

— Podasz mi kawę na ganku i zawołasz Szaję.

— Stefku, czy sądzisz, że idzie o wybory? — spytała żona po francusku.

— Nie wiem... Może jaki kupiec na zboże.

— Ciekawa jestem...

— Możesz posłuchać—odparł z uśmiechem.

Gdy pan Swietnoski usiadł przy czarnej kawie, zjawił się zawołany Szaja.

— Kłaniam jasnemu panu dziedzicowi i jasnej pani dziedziczce—rzekł schylony, lekko podnosząc jar-
mułkę zrudziałą.

— Dzień dobry, Szaja, co mi powiesz?

— Co ja mam powiedzieć? To nie bardzo
ważnego; chwala Bogu, pogoda jest na żniwa, to
i dobrze.

— W tym roku uwinę się prędko ze żniwami;
a jaka cena żyta?

— Co może być za cena, kiedy nikt nie młó-
ci? Za tydzień będzie wiadomo, tak mi mówił dziś
jeden żydek, który do mnie przyjechał z miasteczka
umyślnie.

— Z tą wiadomością?—zaśmiał się pan.

— On mi przywiózł i tę wiadomość, ale on
przyjechał od rabina do jaśnie wielmożnego dzie-
dzica.

— Do mnie?

— Nu, jasny pan pamięta, ja jeździłem do rabi-
na, aby się dowiedzieć, jak będą głosowali w miaste-
czku... Teraz on przywiózł odpowiedź.

— Jaką?—spytał, patrząc badawczo.

— Co ja mam mówić? On z tem przyjechał,
niech on sam gada.

— Gdzież on jest?

— On czeka w sieniach...

— Czemuż nie przyszedł tu z tobą?

— Ja nie mógł wiedzieć, czy jasny pan dzie-
dzic zechce go przyjąć...

— Idź, zawołaj go.

— My zaraz przyjdziemy — rzekł z pośpiechem
i wyszedł.

— Sami się zgłaszają do mnie, to dobry znak,
Celinko—uśmiechnął się.

— Albo też chcą ciebie wybadać—odpowiedziała.—Im nie można dowierzać.

— No, mnie nie wezmą.

— Może będą ich krępowała swoją obecnością; pójdę...

— Nie chcesz posłuchać targów? — roześmiał się.

— Usłyszę i tak wszystko z pokoju jadalnego—mówiła, wstając.

Wszedł Szaja z towarzyszem szczupłym, biednie ubranym żydem, z niemiłym, bo chytrym wyrazem na chudej, piegowatej twarzy, z małemi, błyszczącemi, zielonkowatemi oczami.

Nowoprzybyły skłonił nisko głowę, aż zwiesiły się pejsy długie i rzekł pokornie:

— Mnie przysłano tu do jasnego pana.

— Wiem, mówił mi Szaja, że przyjeżdżasz od rabina w sprawie wyborów.

— Szaja źle powiedział: mnie wysłał kahał, nie rabin, w tym interesie.

— Wszystko jedno—uśmiechnął się pan—kahał, czy rabin; chcę mieć wasze głosy... Jako poseł, postaram się o kolej i ulgi dla fabryki... Jakżeż oni się nazywają?

— Icjo Bleichstein i Ozyasz Figiel—podpowiedział Szaja.

— No tak... dla nich; czegoż chcecie więcej?

— Proszę jasnego pana — przemówił stłumionym głosem wysłannik — kolej to bardzo dobra rzecz, ale ona wszystkim potrzebna... Fabryka dobra dla kupców i dla robotników, ale co my mamy z tego?...

— A to zabawne — zaśmiał się pan głośno —

nie mogę przecież dla każdego z was coś zrobić oddzielnie!

— Ja to wiem, wielmożny panie — mruknął, schyliwszy głowę.

— Gadajże raz! — zawołał pan.

— Ja powiem — wmieszał się Szaja — ja znam jasnego dziedzica, jasny pan potrzebuje wszystko wiedzieć, po co kręcić?... To jest taki interes: w miasteczku między żydkami wielka bieda. Co oni mają robić, kiedy żadnego handlu dziś niema? To oni biedują bardzo, tak rabin powiada tak...

— Nie rabin, Szaja, tylko kahał — poprawił go towarzysz.

— Nu, dobrze, tak kahał powiada tak: tym żydkom trzeba pomódz, bo oni biedni, a jak im pomagać, kiedy u nas wszystkich bieda, ale są wybory, jest głosowanie, oni wszyscy, jak jeden, staną za jasnym dziedzicem, ale niech jasny pan dziedzic poratuje tych biednych... To jest cały interes.

— Ja? Ja mam dawać? — uśmiechnął się gorzko. — U kogoż są wszystkie pieniądze? Kto handluje?

— Co teraz za zarobki? — westchnął Szaja. — Ledwie na życie wystarcza, a jakie ryzyko? Jakie podatki? Ile kłopotów?

— Hm... ani myślę coś dawać, ale ciekawy też jestem, ile żądacie?

— Jasny pan swoim delikatnym rozumem sam powie, ile to warte dla jasnego pana — zaczął słodko wysłannik: — Chłopi mają sto czterdzieści głosów, a my w miasteczku mamy czterdzieści...

— No, a wiryliści? — rzucił kandydat. — Ci wszyscy za mną.

— Takich tabularnych własności w naszym po-

wiecie mało, a na niektórych siedzą nasi, po co ich liczyć?... Chłopi chcą wybrać chłopą, jedni Drewniaka, inni Brosza, głosy się rozpadną... To nasze miasteczko powie ostatnie słowo i my wybierzemy posła... To jest prosty i jasny interes.

— Nie bójcie się — uśmiechnął się pan — będą i chłopi za mną; obejdę się bez waszych głosów.

— Co mamy się bać? To jest rachunek całkiem zwyczajny — mówił wysłany głosem pewnym — chociażby jasny pan miał połowę chłopów, to bez miasteczka wybór nieważny... A ja nie wiem, czy Drewniak, albo Brosz odstąpią swoje głosy na jasnego pana.

— Głupi jesteś z twoim rachunkiem; wiem lepiej od ciebie, na kogo chłopi będą głosowali... Ale ostatecznie, chciałbym przejść znaczną większością. Ileż chcesz?

— To nie ja... to kahał mnie wysłał i mówi tak: za nasze głosy my chcemy dwa tysiące.

— Co?! Powaryowaliście... chyba dwa tysiące centów, a i tego nie dam! — zawołał zaczerwieniony z gniewu.

— Czy jabym jeździł za centami? — uśmiechnął się z ironią.—To są guldeny.

— Wynoś się, pókim dobry. Wolę zrzec się kandydatury, aniżeli tyle płacić!

— Jasny pan nie potrzebuje się gniewać, mnie wysłał kahał, co ja temu winien?

— Kahał, rabin, dyabeł, wszystko mi jedno, wynośćcie się.

— Ja jasnemu panu dziedzicowi coś powiem — zaczął Szaja, lecz nie mógł dokończyć, bo z jadalnego pokoju wyszła na ganek pani Świetnoska, mówiąc po francusku:

— Proszę cię, Stefku, na słówko.

— Zaraz.

Wstał i wyszedł.

— Nie zrażaj ich, Stefku — przemówiła łagodnie—coś im daj: może trochę zboża, kartofli... Ostatecznie nawet sto guldenów nas nie zrukuje.

— Ależ, moja Celinko, oni chcą mnie ohydnie wyzyskać. Nie mogę pozwolić na to.

— Że korzystają z konkurencji tych chłopskich kandydatów, rzecz jasna, ale uwzględnij, że rozporządzają tylu głosami z miasteczka.

— Obejdę się bez nich. Będę miał chłopów...

— Miałbyś napewno wszystkich, ale ten Drewniak ich zbałamucił. Sam mówiłeś mi o tem.

— Więc mam dać dwa tysiące?—zadrwił.

— Ależ kto mówi?... Potarguj się, zostaw rzecz w zawieszeniu... Uspokój się trochę.

Pan Świetnoski przeszedł się po pokoju zamysłony, a wśród chwilowej ciszy słychać było szept rozmawiających pośredników, którzy, nachylając się do siebie, mówili urywanym, bardzo cichym głosem:

— Szaja, co będzie?

— Nuchim, on da.

— A jak nie zechce?

— On da.

— Jak nie da, ja, Szaja, muszę dziś jechać do Brosza, albo do Drewniaka, i z nimi zrobić interes.

— Sza, Nuchim, on idzie.

Pan Świetnoski ze świeżem cygarem w ustach, usiadł na ławce i rzekł tonem łagodniejszym:

— Hm... żądacie pieniędzy. A jaka pewność, że oddacie głosy na mnie?

— Jak kahał powie tak, musi być tak — odpowiedział wysłannik.

— Te słowa; kto mi zaręczy?

— Jasny pan da pieniądze na cudze ręce; jeśli nasze głosy nie będą za jasnym panem, my nic nie chcemy.

— Hm... ostatecznie dla świętej zgody dałbym cośkolwiek, bo przecież od Drewniaka nie dostaniecie.

— My to wiemy — skłonił się wysłannik. — Ale my możemy nie głosować, albo znajdziemy innego...

— A szukajcież sobie — zaśmiał się.

— Co ty, Nuchim, takie rzeczy gadasz — zawołał Szaja. — Kogo wy znajdziecie? Taki Drewniak sam nic niema, a Brosz może da dwieście, albo trzysta; co to za interes? Jasny pan dziedzie to hojna osoba; ty nie rozumiesz, Nuchim, że to jasny pan dziedzie.

— Ja to wiem — szepnął pokornie Nuchim.

— Dam więc dwadzieścia korcy żyta, dziesięć pszenicy, a czterdzieści kartofli i koniec.

— Nu, Nuchim, co ty powiesz? — spytał Szaja milczącego.

— Ja to powiem w kahale, ale ja wiem, że kto chce krowy, a jemu dają trochę mleka, to on się zapyta, a gdzie krowa?

— Głupiś z twojem porównaniem. Więcej nie dam i kwita.

— Jasny pan sobie żartuje — starał się Nuchim uśmiechnąć.

— Wcale nie.

— Ty, Nuchim, jedź spokojny — doradzał Sza-

ja. — Ja znam jasnego pana dziedzica: jak przyjdzie ochota, to on dołoży.

— O, co to, to nie.

— Niech jasny pan się namyśli; ja tu będę jeszcze raz.

— Powiedziałem ostatnie słowo.

— Ja słyszałem, ale ja tu będę.

— Wszystko mi jedno.

Obydwoj pośrednicy, kłaniając się bardzo nisko, szybko opuścili ganek.

Pan Świetnoski był tak podrażniony tą rozmową, że i w czasie podwieczorku i przy kolacji opowiadał o dzikich żądaniach żydów z miasteczka, a ich chęć wyzysku potępiła cała rodzina. Dopiero, gdy wieczorną pocztą przyszedł list od Rokickiej z Nauheimu, zmienił się temat rozmowy.

Pani Rokicka donosiła, że pobyt w Nauheimie jej nie służy i dlatego skraca czas kuracji, tak, że za osiem, dziesięć dni będzie już w Galicyi. Pani, przeczytawszy ten list, aż się zarumieniła ze wzruszenia i rzekła głośniej, niż zwykle:

— Wandzia przyjeżdża, a tu nic nie gotowe! Co to będzie?

— Co ma być? — zaśmiał się mąż. — Meble już pokryte w saloniku, a nowe graty sprowadziłaś do gościnnych pokojów. Czegoż chcesz więcej?

— Ale nic nieurządzone, dywaniki nie nadeszły od Władzia, ani firanki, i różne drobności...

— A moje sukienki, mamó? — upominała się panna Irena.

— Prawda, i suknie dla dzieci... Od jutra muszę się tem zająć... A dziś jeszcze napiszę do Władzia...

— Hm... to dziwne, Celinko, że robisz dla Wandzi takie przygotowania, jak dla królowej... Po co to? Na co? Przyjąć ją dobrze, serdecznie, ale po co te awantury, niepokoje, wydatki?...

— Istotnie, mama zanadto przejmuję się tą wizytą — krytykowała córka — przyjeżdża siostra i taki niepokój...

— Pozwólcie mi przyjąć ją tak, jak chcę; wy jej nie znacie, a ja wiem, co ona lubi i chciałabym, aby się jej u nas wszystko podobało.

— Co chorą osobę mogą obchodzić takie drobnostki?—mówił mąż niezadowolony.—Ona potrzebuje zdrowia i spokoju.

— Ty, Stefku, nie rozumiesz tego, boś mężczyzna, ale my, kobiety, potrzebujemy pewnego wykwin-tu i harmonii w otoczeniu naszym.

— Hm... hm... — pokręcił głową — dziwi mnie ta twoja czułość nadzwyczajna.

— Jak poznasz ją bliżej, to zrozumiesz.

Wśród chwilowego milczenia, odezwał się Boles:

— Mamo, przydałby mi się nowy mundur; ten jest znoszony.

Ojciec spojrział na niego niechętnie i rzekł surowo:

— Wystarczy ci ten, co masz... I tak po wakacjach musisz mieć inny, bo wiesz, że nie możesz być dłużej w Chyrowie.

Chłopak zaczerwienił się, gdyż słowa ojca przypomniały mu przymusową zmianę gimnazyum z powodu powtórzenia się złych stopni.

— Każę ci, Bolciu—łagodziła matka—odczyścić i odprasować mundurek...

Syn pozostał chmurny.

— Boles zmartwiony, bo myśli, że wszyscy patrzą tylko na niego i jego mundur — zażartowała siostra.

— A ty sądzisz, że każdy powinien się tylko tobą zachwycać—odciął się.

— Jesteś dzieckiem—rzekła wyniośle.

— Ty przestałaś niem być zbyt dawno — uśmiechnął się złośliwie — i... dlatego kwaśniejesz...

— Moje dzieci, nie kłóćcie się; wiecie, jaką mi to przykreść sprawia — łagodziła matka poważniejszych.

— Nie ja zacząłem—mruknął.

— Cicho, dosyć tego! — zawołał ojciec, i zwrócił się do żony: — Pisząc list do Władzia, przypomnij mu, aby napisał list do starosty.

— Nie zapomnę.

Wstała z krzesła.

— Pójdę pisać... Irenko, przypilnuj porządku.

W cztery dni później dwór w Bruśniku cieszył się przyjazdem pana Władysława, który, przywitawszy się z rodziną, nakarmiony i napojony, szedł z matką i siostrą przypilnować rozpakowywania zrobionych sprawunków, przywiezionych z kolei osobną furmanką. Lokaj wyjął ostrożnie już gotowe portyery z bogatą pasmanterią, a pan Władysław sam je rozwinął, przypatrując się z lubością swemu gustowi. Były one koloru zgniłego w wodzie liścia jesiennego, z dziwnymi deseniami nieistniejących roślin i liniowymi rysunkami zawitych kombinacyj, zaznaczonych jaskrawym kolorem. Całość robiła wrażenie kaprysu robotnika, chorego na malaryę, lubującego się w dziwactwach kolorowych.

Pan Władysław, ułożywszy tę materię, odstąpił

kilka kroków, nałożył monokl i spytał z uśmiechem zadowolenia.

— Cóż panie powiecie?

Matka, spostrzegłszy, że syn oczekuje pochwał, odpowiedziała dyplomatycznie:

— Bardzo ładne; jednak tło wydaje mi się za nikłe...

— W tem, mamó, cała sztuka — zaśmiał się — aby kolor nie był kolorem, tylko jakąś kombinacją niezwykłą.

— Dla mnie to wszystko razem jest brzydkie i gdybym to zawiesiła w swoim pokoju, jestem pewna bólu głowy—krytkowała panna Irena.

Spojrzał na nią surowo i rzekł tonem stanowczym:

— Moja Irenko, powinnaś raz nareszcie zrozumieć zasadę, obowiązującą nas, ludzi dobrego tonu, że co jest modne, jest i piękne; gusta pospolite zostaw prostakom.. Jednak nawet w tej naganie jest pochwała, bo celem tej materyi jest wywołanie nastroju, który u ciebie objawia się bólem głowy... Bo prawdę powiedziawszy, zaśniedziłaś trochę na tej prowincyi.

— Nie moja wina—odrzekła chmurna.— Czy sądzisz, że nie pragnę świata?

— Jestem pewny — mówił dalej — że cioci Rokickiej te portyery będą się nadzwyczaj podobały...

— Więc to do jej pokoju? — zawołała siostra, trochę zdziwiona. — A ja myślałam, że do gabinetu...

— Nie, Irenko, gabinet musi mieć pewną powagę w tonie obicia i mebli, a takie rysunki, dese-

nie, tony niezdecydowane są do buduarów damskich, aby pobudzać do marzeń i wizyj...

— Ciekawa też jestem, jakie marzenia będzie miała ciocia Rokicka, chora i niemłoda — zaśmiała się.

— To do nas nie należy — odparł z powagą i zmarszczką na jasnym czole; — my tylko musimy być *correct*.

— Nie masz się o co spierać, Irenko — zdecydowała matka. — Władzio jest znawcą i posiada smak wytworny.

— A co jest w tym kufrze? — spytała siostra, wskazując na wielki, skórą obity kufer.

— Moja garderoba.

— Taki kufer? — zdziwiła się.

— Otrzymałem urlop do ukończenia wyborów, zaopatrzyłem się więc w potrzebne rzeczy.

— Nie zapomniałeś perfum?

— Przywiozłem nawet flakon dla ciebie, Irenko — odpowiedział z uśmiechem.

— Dziękuję ci, Władziu. Czy Werbena?

— Nie, dziś modna jest inna, angielska: *Prince of Wales*.

— Jakaż ona?

-- Niewyraźna: coś z potu końskiego, psiego zapachu i domieszki kwiatów... Moja mamó, a gdzie mój pokój?

— Narożny, za salonem.

— To dobrze. A chłopcy gdzie?

— Możeby ich przenieść do oficyn? — odezwała się siostra.

— Nie wypada — rzekł pan Władysław. — Takie umieszczenie chłopców mogłoby cioci Rokickiej nasunąć myśl, że krępuje nas swoją obecnością.

— Hm... gdzież ich umieszczę?—mówiła zakłopotana matka.

— Mam myśl!—zawołał syn.

— Jaką?

— Jest pokój na facyatce...

— Lokaj tam śpi.

— Przenieść go do kuchni, a ten pokój dać dla chłopców.

— Będą się krzywili—ostrzegła matka.

— I hałasowali na górze—dodała siostra.

— Wytłómaczy się im i koniec... Przecież lepiej, ażeby tam spali, aniżeli by Irenka przeniosła się do pokoju mamy.

— O, mego pokoju nie oddam — rzekła z energią panna Irena.

— Skończyliśmy tedy: chłopcy na górę. A teraz może mi mama pokaże owe zmiany, o których pisała mi mama.

— Bardzo chętnie. Chodźmy.

Z przedpokoju, w którym rozpakowywano sprawunki, przez pokój jadalny przeszli do saloniku. Portyery i obicia mebli były koloru zupy pomidorowej, zaprawionej śmietaną, coś pomiędzy bladym różowym odcieniem, żółtawym i leciutko pomarańczowym...

— Jakże, Władziu, podoba ci się? — spytała matka.

— No, materję sam wybrałem — i po chwili uważnego przypatrywania się dodał:—nieźle wygląda, czuć modę, tylko tu za jasno; niech mama każe nasunąć bardziej portyery u okien; światło powinno być przełamane... W ten sposób—podszedł do okna i naciągnął portyerę, wtem spostrzegł kwiaty w wazonach. — Mamo, żadnych kwiatów; to nie w modzie; gdzieś w rogu samotna palma wystarczy zupełnie.

— Dobrze, Władziu.

Przeszli do gabinetu. Odnowione meble były obite naśladownictwem skóry, koloru zgniętego jabłka.

— Gdzież, mamu, portyery?

— Jutro, pojutrze będą gotowe.

— Trzeba przypilnować, mamu, aby nie było kłopotu.

Zbliżył się do oszklonej szafki z książkami, w której spoczywały w nieładzie książki i pisma.

Spojrzał z wyrzutem na matkę, mówiąc z pewną goryczą:

— Ładny porządek tutaj; ależ książki są nieodzowną] częścią gabinetu!... I tylko tyle w całym domu?

— Jest trochę u ojca.

— Znam je, to starzyzna.

— Irenka ma także—dodała matka.

— Muszą być w jej pokoju — objaśniał syn. — Tego wymaga bezsenność.

— Ja śpię doskonale — uśmiechnęła się siostra...

— Wszystko mi jedno, ale formy należy zachować...

— Cóż zrobimy?—spytała matka.

— Może chłopcy mają.

Właśnie przechodził obok Boles. Pan Władysław zapytał go:

— Nie masz ładnie oprawnych książek: poezyj, powieści?

Zapytany roześmiał się głośno.

— Także coś nowego! Czy ciebie w moim wieku interesowały książki?

— Hm... sądziłem, że masz kilka...

— Nie mam; rad jestem, że pozbyłem się ich na wakacjach.

— Hm... jakoś zaradzę temu, a tymczasem te należy w szafie uporządkować. Zajmij się tem, Bolku.

— Ani myślę. Tam taki kurz; od tego jest lokaj.

— Zrobi się to, zrobi—dorzuciła matka.

Pan Władysław spojrział na stolik okrągły, na którym leżało kilka książek ilustrowanych.

— Gdzież nowości francuskie?— spytał.

— Nie mamy.

— Ależ to niemożliwe — oburzył się. — Może i w pokojach cioci niema?

— Zapomniałam—przyznała się matka.

— Że też nie pomyślałem o tem!—zawołał karzącym głosem.—Nowości być muszą, i to symboliści, dekadenci... no i trochę ilustracyj.. Zaraz napiszę do księgarni... Książka jest dziś rodzajem perfumy, uzupełniającej gotowalnię; można jej nie używać, ale powinna być.

— Dobrze, Władziu, zrób, co uważasz za stosowne.

— Mamo—spytał z żywością—a na ostatni list odpisała mama?

— Tak jest, i dziś, jutro czekam odpowiedzi.

Po drzemce poobiedniej, jeszcze ze śladami snu na zmęczonej twarzy, zjawił się w progu gabinetu pan Świetnoski, mówiąc:

— Nakonferowałeś się dosyć, Władziu, z kobietami, chodź teraz ze mną, mam ci coś powiedzieć w sprawie wyborów.

— Zaraz, papo. Pokoje gościnne obejrzymy, mamó, później.

— A dokąd idziecie? — zwróciła się do męża — bo i ja chciałabym posłuchać.

— Hm... może do altany? Co, Władziu?

— Czy nie lepiej, papo, na ganku?... Mama może każe podać nam herbatę...

— To myśl niezła... Chodźmy.

— W tej chwili, papo, tylko cygara przyniosę; będzie nam weselej.

— Irenko, postaraj się o herbatę, dość mocną; bo taką pija Władzio — rozporządziła matka, idąc razem z mężem w stronę ganku.

Za chwilę nadszedł i pan Władysław, przynosząc w ładnej papierošnicy cygara.

— Proszę papy... doskonał!

Ojciec wybrał z uwagą i zapalił.

— Hm... dobre, wcale niezłe.

— Cóż, papo, z wyborami?

— Zawierzycki ze mną, to już wiesz; starostwo, jak mi mówiono, nie dopuszczało zebrań chłopskich, ale i za mną nie agituje, należy to do twego wydziału—zaśmiał się.

— Ze starostwem dam sobie radę, a jaką, opowiem później... Teraz, papo, co z duchowieństwem, bo z ich wpływem trzeba się nam liczyć?

— Byłem u kanonika i u kilku proboszczów; wszyscy oświadczyli się za mną, bo chłopci chcą rewizji ustawy kościelnej.

Pan Władysław zatarł ręce z uśmiechem tryumfu.

— To bardzo dobrze. Nie sądziłem, że Drewniak taki niezręczny. Głupstwo zrobił, że dotknął

kwesty plebanii i składek na kościół; sam zgromadził na siebie potężnych przeciwników.

— Chłop zawsze chłopem! — zaśmiał się pan Świetnoski—tyle się zna na dyplomacyi, co kura na pieprzu...

— Po co szukać aż dyplomacyi? — odezwała się pani. — Chłopom brak elementarnych uczuć honoru i uczciwości. Wyobraź sobie, Władziu, że za marną furę drzewa Drewniak wypędził syna z chaty i wyprzysiął się wszelkiej z nim wspólności.

— Tak, tak, mój Władziu — przytakiwał ojciec z odcieniem dumy, że sam to zrobił.

— To szczegóół ważny — rzekł syn z powagą.— Trzeba go rozgłosić w radzie powiatowej i w starostwie bo i kto zawierzy młodemu Drewniakowi, gdy rodzony ojciec wyrzeka się go? Cóż on porabia? Gdzie jest?...

— Mówiono mi, że kręci się po powiecie... Jego ojciec wspominał też coś o mieście.

— Nie rozumiem tej pobłażliwości starosty Ządębińskiego—dziwił się syn.—Takiego ptaszka, burzącego lud spokojny, mógł z łatwością zamknąć do klatki... Pewno mści się na papie za owo pozwolenie na wyrąb wbrew jego decyzji i opinii.

— Władziu, a teraz nie mógłbyś wpłynąć na starostwo?—spytała cicho matka, czując całą niewłaściwość pytania i domniemanej rady.

— Zapóźno, mamó, wybory rozpisane i każdy ma prawo agitowania; chyba, że zaszłyby gwałty, bijatyki, ale na to Drewniak za ostrożny, kandydując na posła... Cóż słychać z żydami?

— A te cała historia!—zawołał ojciec z reszt-

kami dawnego oburzenia.—Wyobraź sobie, że zażądali odemnie dwu tysięcy guldenów, słyszysz?

— Cóż papa im dał?—spytał spokojnie.

— Chciałem ich przepędzić na cztery wiatry, ale za wdaniem się matki nie zerwałem rokowań.

— To bardzo dobrze, papo — i spojrział z uznaniem na matkę. — W takich sprawach ten górą, kto ma krew zimną.

— Ależ, Władziu, taka suma!... Nie chcę poselstwa za takie pieniądze.

— Któż mówi o dwóch tysiącach — zaśmiał się ironicznie, poprawiając sterczące w górę wąsiki ciemne — to, papo, był *ballon d'essai*, nie więcej... Cóż papa dał?

— Ofiarowałem im dwadzieścia korcy żyta, dziesięć pszenicy i czterdzieści kartofli...

— Hm... to na gotówkę coś około trzystu guldenów... Ile głosów?

— Czterdzieści.

— Hm... licząc głos po dziesięć guldenów, można im dodać sto guldenów.

— Nie, to za wiele.

— Aby posłem zstać, nawet za mało... zresztą zobaczymy. Trzeba dowiedzieć się w starostwie, co myślą chłopię...

— Mówił mi Szaja, że chłopię rozdwojeni: jedni chcą Drewniaka, drudzy Brosza.

— Co to za Brosz?

— Chłop prosty z Kunowa.

— Czyj Kunów?

— Rozparcelowany.

— Dla nas dobrze się składa, że chłopci mają dwóch kandydatów, a jeszcze lepiej, gdyby mieli trzech... Głosy ich rozstrzelą się, a mając miasteczko za sobą, zwycięży papa... Tym żydom można dodać dwieście guldenów... Jednak jacy oni sprytni, jak umięją wyzyskać chwilę—zachwycił się.—Trzeba, papo, ubić szybko ten interes, bo napewno udadzą się do Drewniaka i Brosza, ci wytrzasną pieniądze i nas ubiegną.

— I ja tak myślę—szepnęła pani.

— Niema gwałtu—uśmiechnął się ojciec.—Zawołam Szaję i skończę interes...

— A teraz powiedz, co zrobisz ze starostwem?

— Do starostwa trzeba nam, papo, pojechać; im wcześniej, tem lepiej; należy ugłaskać Zadębińskiego za ten wyrąb...

— Hm... możemy to zrobić...

— Wiem, że dostał wskazówki popierania papy, jako kandydata komitetu centralnego, ale dużo zależy na wykonaniu... Należałoby sobie zjednać niższych urzędników...

— Ale jak?

— Obmyślmy, papo... Zaopatrzyłem się też w list polecający od radcy namiestnictwa do Zadębińskiego; sądzą, że lodowate zachowanie stopnieje po przeczytaniu.

— Ty jednak jesteś przewidujący — pochwalił ojciec.

— Od tego jestem w urzędzie politycznym — uśmiechnął się syn.

— Kiedyż pojedziecie?—dopytywała się matka.

— Chociażby jutro, papo.

— Już jutro?—zdziwił się.

— Czas wyborów blizki, trzeba nam wszystko przygotować do ostatniej walki.

— Jednak to mnie męczy. — A widząc niechętne miny matki i syna, dodał: — Kiedy trzeba, to pojedę jutro.

— A z urzędnikami rady powiatowej pomówi papo?

— Kiedy? Teraz żniwa, czas gorący, nie można tracić i chwili, trzeba korzystać z pogody.

— Hm... to już za jednym razem wpadniemy i do rady. Marszałek dał im zapewne jakieś wskazówki, ale bez nacisku trzeba nam to poprawić.

— Ileż to zachodów! Ile kłopotów!—westchnął ojciec.

— Zapominasz, Stefku, że zostaniesz posem, a to zaszczyt nielada—przemówiła żona.

— Zaszczyt; nie liczysz jednak kosztów... Zjedzą nas te wydatki.

— Poseł zapłaci, co winien Świetenoski — zaśmiał się syn wesoło.

— Hm... nie bardzo w to wierzę, ale jak raz zacząłem, skończyć muszę.

— Zatem jutro do starostwa — dodała matka, przypatrując się synowi. — Postaraj się, Władziu, wszystko załatwić, bo jak przyjedzie Wandzia, nie puszcę cię z domu.

— A cóż on będzie z nią robił? — zdziwił się ojciec.

— Zapominasz, Stefku, że z Wandzią przyjeżdzie Ewcia; ktoś musi bawić młodą kuzynkę.

Ojciec spojrział badawczo na żonę i na syna, swe mi wyblakłemi, niebieskimi oczyma, uśmiechnął się pod wąsem i rzekł:

— Ano, to i nieźle... Ewcia, to partya bardzo dobra.

— Jak możesz, Stefku, tak mówić—udała oburzenie żona. — Ani Władzio jej zna, ani ona jego; gdyby ktoś posłyszał, posądziłby Władzia o polowanie na posag.

— Tak mi przyszło do głowy — znów się zaśmiał — a zdaje mi się, że i tobie, bo czynisz takie przygotowania.

— Przyznam ci się, Stefku, że dopiero ty teraz podsunąłeś mi tę myśl, może w chwili szczęśliwej... Nie zepsujże jej przez rozgadanie.

Pochlebity mu te słowa żony, ale ubodła ostatnia uwaga.

— Nigdy nic nie rozgaduję... Ty raczej nie przesadz w czułości.

— Niema o czem mówić — zawołał syn swobodnie.—To jeszcze wszystko projekty projektów.

— Dlaczegoż, mój Władziu? Gdyby ona ci się podobała, a ty jej, kto wie, czy połączywszy się, nie znaleźlibyście szczęścia.

— Szczęście w małżeństwie, to czterolistna koniczyna na łące—uśmiechnął się ojciec ironicznie.

— Stefku!—upominała żona.

— Moja droga mammo—wmieszał się syn—znam papę i wiem, że mój projekt co do Ewei Rokickiej zachowa w tajemnicy, ale prosiłbym mamę, ani sło-

wa Irencie i dzieciom; to zepsułoby cioci i nam całą przyjemność spotkania się po tylu latach.

— Masz zupełną słuszność — przyświadczył ojciec.

— Dobrze, mój Władziu — odezwała się matka—ja nie powiem i słowa.

— Ani ja—dodał mąż.

VIII.

Ładnym powozikiem zajechali panowie Świetnoscy przed jednopiętrową kamienicę, mieszczącą w sobie starostwo, jak wskazywał napis czytelny, umieszczony razem z herbem na balkonie pierwszego piętra.

Wysiedli, i w sieni skierowali się na schody, wiodące do biura starosty. W przedpokoju woźny, znając obu, zdejmował z nich usłużnie paltoty letnie, wziął w rękę bilety wizytowe i poszedł do biura. Po chwili wrócił pośpiesznie, mówiąc:

— Pan starosta kazał prosić.

Weszli do obszernej kancelaryi, w której pracowali dwaj niżsi urzędnicy. Obaj spojrzeli ciekawie na przybyłych, nie odrywając ręki od stolików, przy których pisali.

Goście skierowali się do drzwi prawych, wiodących do biura starosty, a dochodząc, posłyszeli swe nazwiska wymienione szeptem przez piszących.

Biuro — był to pokój jasny, oświetlony dwoma frontowymi oknami. Środek pokoju zajmowało obszerne biurko z rozlicznymi papierami na bokach; w jednym rogu stał garnitur mebli wyściełanych, pokrytych skórą zielonkawą, w drugim dwie szafy. Kilka krzesel i foteli uzupełniało umeblowanie.

Starosta, brunet siwiejący, łysawy, z bokobrodami, starannie utrzymanymi, z twarzą bladą, zmęczoną, z podsiniałymi oczyma, wstał z fotelu za biurkiem, skinął uprzejmie głową i z uśmiechem, nic nie mówiąc, wyciągnął białą, niemal przejrzystą rękę do zbliżających się:

— Witam panów, bardzo mi przyjemnie. Proszę, siadajcie panowie.

I wskazał na dwa krzesła obok biurka.

Gdy usiedli, starosta wyjął z szuflady pudełko cygar.

— Może panowie pozwolą?

Wzięli i, zajęci obcinaniem i zapalaniem, milczeli przez chwilę.

— Czemże mogę służyć? — pytał uprzejmie, opierając łokcie na bocznych oparciach fotelu.

— Hm... znamy się z panem starostą dość dawno — zaczął pan starszy — ale dziś przychodzę w nowej skórze — zaśmiał się. — Jestem kandydatem z kuryi czwartej.

— Wiem o tem.

— Otóż przyjechałem z prośbą o radę i wskazówki do pana starosty.

— Bardzo proszę, czem mogę służyć?

— Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób mógłbym najłatwiej pozyskać chłopów dla siebie. Idzie mi o najkrótszą i najpewniejszą drogę.

Starosta uśmiechnął się leciutko i zaciągając się cygarem, odpowiedział:

— Mojem zdaniem, należy poszukać zręcznych agitatorów, rozesać pomiędzy chłopów i namową, pewnymi obietnicami zjednać wyborców dla siebie.

— Hm... to długa i niepewna droga...

— Innej nie znam. Wyborcy są niezależni, należy więc użyć wpływu moralnego i przekonać o korzyściach wyboru pana na posta.

— Sądziłem, że pan starosta pomoże mi w tej sprawie—rzekł z pewnym odcieniem pretensyi.

— I owszem, o ile będę mógł, ale ja jestem tylko stróżem praw i ustaw, w tych granicach wszystko zrobię... A pan do nas na długo? — zwrócił się do młodego.

— Na kilka tygodni.

— Jacyście wy we Lwowie szczęśliwi! Macie urlopy na zawołanie — westchnął szczerze — nie tak, jak my na prowincyi.

— Udzielono mi urlopu ze względu na kandydaturę ojca, i prócz ukłonów od wielu znajomych, przywożę list od radcy Balki.

I podał list.

— A, od radcy — rozjaśnił twarz. — Pozwolicie panowie, że odczytam.

— Prosimy.

Ładnym nożem kościanym rozciął kopertę i szybko czytał; następnie złożył list, schował w kopertę.

spojrzał uważniej na gości i rzekł tonem serdeczniej-
szym:

— Pisze mi radca, ażebym poparł wybór pana
i wspomina o wyrębie lasu...

— Panie starosto, musiałem podać rekurs do
namiestnictwa, inaczej byłoby mi się chłopci pobunto-
wali—zawołał pan Świetnoski.

— Domyślałem się tego — mówił starosta grze-
cznie. — Żałuję, że pan wpieryw nie zgłosił się z re-
kursem do mnie, byłbym panu wyjaśnił, że gdy ró-
wnocześnie gminie Kunów zabroniłem wyrębu trzy-
dziestu morgów, musiałem pozornie odmówić i panu,
sam jednak napisałem referat do namiestnictwa przy-
chylny dla pana.

— Dziękuję serdecznie — i uściśnął rękę staro-
sty. — Ale cóż, nie wiedziałem tego, napisałem wprost
i za to przepraszam.

— Niema tak dalece za co, przykro mi, że pa-
nowie zbyt pochopnie tłómaczą sobie na złe nasze
zarządzenia, a często są głębsze przyczyny, aniżeli
zdaje się napozór.

— Tak, tak to bywa — skinął głową pan Wła-
dysław. — A co pan starosta myśli o prawyborach?
Czy termin już ogłoszony?

— Jeszcze nie, wkrótce jednak go wyznaczę.

— Czy możemy liczyć na poparcie wójtów? —
spytał pan Władysław.

— Zdaje mi się, że tak... ale najlepiej poinformu-
je panów pierwszy komisarz, pan Mikołaj Silnicki,
gdyż jemu zdałem całe przeprowadzenie wyborów,
czuję się bowiem słaby.

— Cóż panu staroście brakuje?— spytał z wielkiem współczuciem pan Władysław.

Jakiś czas trwała rozmowa o chorobach, nowinach lwowskich urzędowych i brukowych, wreszcie panowie wstali i wyszli, odprowadzeni do pierwszych drzwi przez uprzejmego starostę.

Gdy byli na schodach, idąc do pana Silnickiego, szepnął ojcu:

— Dobrze, że list przywiozłem, teraz każe Silnickiemu przeprowadzić wybór papy... Ależ się zawiązał o ten las.

— No, nie bardzo, sam mówił, że odmowa była pozorna.

— Sprytny, zaraz znalazł dobrą formę, aby upozorować odmowę... Zauważył papa, jak nas zrazu przyjął?

— Trochę zimno.

— Lodowato—zaśmiał się syn—ale wkrótce zaśpiewał inaczej po liście.

— Tak, to prawda.

Przeszli przez dwa pokoje, w których pracowali urzędnicy, i zapukali do drzwi komisarza.

— Proszę!

W pokoju, niezbyt wielkim, siedział za biurkiem pan Silnicki. Podniósł na wchodzących ciemne, przenikliwe oczy, a poznawszy, wstał z fotelu i podszedł, wyciągając rękę do powitania:

— Powitać pana dobrodzieja! Jakże zdrowie szanowne? Proszę, siadaj pan; tu na kozetce będzie wygodniej.

— Dziękuję panu komisarzowi, dziękuję...

— Przypominam się łaskawej pamięci pana komisarza—kłaniał się pan Władysław, ściskając podaną rękę.

— Pamiętam, pamiętam, chociaż dawne to czasy—zawołał komisarz.

— Wstąpiłem na rok przed odejściem pana komisarza z namiestnictwa.

— Tak, tak, wiem. Proszę, siadaj pan... Mogę służyć cygarem?

— Nie, dziękujemy — rzekł starszy. — Właśnie paliliśmy u pana starosty, a to jeszcze przed śniadaniem.

— Wracamy od pana starosty — dorzucił pan Władysław.

— Tak? Cóż mówił?

— Byliśmy u niego w sprawie wyborów — zaczął pan Świetnoski.—Objął nas, że wszystko zależy od pana komisarza.

— Cóż ja mogę? — zrobił minę niewinną, gładząc krótkie faworyciki.—Wszystko zależy od wyborców, bo domyślałem się, że była mowa o kandydaturze pana dobrodzieja.

— No tak, przyjechałem o radę i wskazówki.

— Cóż powiedział pan starosta?

— Na poparcie wójtów możemy liczyć — wmieszał się pan Władysław—ale z resztą odesłał nas do pana komisarza, gdy ojciec zapytał o opinię chłopów w powiecie.

— Opinia chłopów? Tak, naprawdę nie znam jej wśród chłopów; wiem tylko tyle, że wśród nich agituja DREWNIĄK i BROSZ na swoją korzyść.

— Hm... i jak sądzi pan komisarz, czy im się uda zbałamucić chłopów?—spytał starszy z gości niepokojnie.

— Zależy od prawyborców; przy braku wszelkiej kontragitacyi rezultat prawyborów może wypaść niekorzystnie dla pana dobrodzieja; tego nie taję.

— Ależ przyrzekł mi kanonik, kilku proboszczów, prawie wszyscy sąsiedzi...

— Pan dobrodziej zna sam chłopów najlepiej: to naród chytry i niedowierza nikomu, słuca, przytakuje, zgadza się, ale przyjdzie co do czego, swoje zrobi.

— Cóż pan radzi?

— Rozwinać silną kontragitację.

— Ale jak? Czas jest już krótki—wmieszał się pan Władysław.

— Do wyborów mamy przeszło dwa tygodnie; przez ten czas można dużo zrobić.

— Prawdopodobnie będziemy mieli żydów za sobą i wirylistów — pośpieszył dodać pan Świenoski.

— Jeśli pan dobrodziej zapewni sobie głosy żydowskie, to już coś znaczy... Wirylistów w naszym powiecie niewielu.

— A gdyby tak przez wójtów — rzekł po krótkim namyśle pan Świenoski.

— Pan starosta już powiedział panom, że wójtci będą po stronie pana dobrodzieja, ale nie ukrywam, że i oni nie mogą wiele wobec prawyborców.

— Ani przypuszczałem — westchnął kandydat — że natrafię na takie trudności; byłbym się nie zgodził na propozycję zostania posłem.

— Tak, tak, chłop nasz jest uparty, z nim ciężko coś zrobić... Ale po co to mówię? Przecież pan dobrodziej ich zna doskonale.

— Hm... myślałem, że władza... że rząd...

— My jesteśmy tylko stróżami praw i ustaw, pilnujemy, aby wszystko odbyło się w porządku, aby każdy obywatel używał w pełni przywilejów konstytucyjnych.

— No tak, zapewne, ale przecież powinien być jakiś nadzór nad chłopami.

— I jest, bo mają gminę, radę powiatową i starostwo.

W tej chwili wszedł woźny i stanawszy w progu, meldował:

— Pan starosta kazał prosić pana komisarza do siebie.

— Zaraz idę—i zwrócił się do gości:—Panowie pozwolą, ale służba...

— Proszę się nie krępować... Zaczekamy.

— Jak on wróci od starosty—rzekł syn—zobaczy papa zmianę frontu.

— Sądziysz, że to w naszej sprawie?

— Najniezawodniej. Starosta wiedział, że pójdziemy do komisarza, a w obawie, że poskarżę się przed radcą na zimne przyjęcie, wyda komisarzowi stosowne polecenie.

— Hm... hm... hm... jednak to psia zależność.

— Nie, papo, to tylko dobrze zrozumiana służba; bez posłuszeństwa nie byłoby porządku.

— Ależ taki pan wyrzeka się swych przekonań, zasad...

— Dla dobra kraju—zaśmiał się.—Bo co byłoby z Galicyi, gdyby nie żelazna obręcz starostw... Z wyborów wyszedłby taki Drewniak albo Brosz; radźcie z takimi w sejmie lub radzie państwa! To przecież ludzie bez wychowania, prawie dzicy.

— Hm... to prawda, bo chłop będzie zawsze chłopem.

— Prócz nas, całe społeczeństwo jest jeszcze niedojrzałe do wolności konstytucyjnych; starostwa wiedzą o tem i tylko nas popierają.

— Więc i ja mogę liczyć na ich pomoc.

Wszedł komisarz i z progu przemówił ze słodkim uśmiechem:

— Bardzo panów przepraszam...

— Nie ma za co; ja to rozumiem, bo sam służę—rzekł uprzejmie pan Władysław.

— Nie chcemy dłużej zabierać czasu panu komisarzowi—zaczął kandydat—pragnąłbym tylko wiedzieć, co mam zrobić, aby wpłynąć na chłopów?

— Jeśli mam być szczerzy—mówił z miną przyjacielską — to na agitację wśród prawyborców jest już za późno... Ale dla zachowania form przyjętych, a formy dużo znaczą, należałoby, mojem zdaniem, przedstawić prawyborcom, przemówić coś do nich...

— Ja przed chłopami mam składać wyznanie wiary?—zaśmiał się gorzko kandydat.

— Forma, panie dobrodzieju, czysta formalność. Nie idzie o treść i jakość przemówienia, byle zbytecznie nie drażnić chłopów; ale niech wiedzą, że pan dobrodziej naprawdę kandyduje i chce być po-
stem.

— Hm... hm... a gdybym się zgodził na to, kiedyż mam to zrobić? Jak?

— Wiemy, że Drewniak i Brosz zwołują wiec powiatowy do Kopowic...

— A, to majątek sąsiada Dobieradzkiego—dodał pan Świetnoski.

— Otóż na tym wiecu może przemówić i pan dobrodziej.

— Kiedyż ma być ten wiec?

— Od dziś za osiem dni.

— Papa przemówi—odezwał się syn.—A kiedy prawybory?

— W tych dniach rozpiszemy i oznaczymy czas, gdyż nas jest tylko dwóch na cały powiat, a przy każdym prawyborach jeden z nas musi być obecny.

— Któż drugi?

— Stefan Ocieski, komisarz.

— To prawie mój kolega! — zawołał pan Władysław.—Takie spotkanie należy oblać. Może nie odmówi nam pan komisarz zaszczytu wypicia z nami kieliszka wina.

— Dziękuję, ale jestem bardzo zajęty...

— Papiery nie uciekną... Bardzo prosimy—dodał ojciec.

— Hm... kiedyż to, o której?

Każdy spojrzął na zegarek, a pan Władysław zdecydował:

— Teraz jedenasta minut trzydzieści. Za godzinę spotkamy się w hotelu Europejskim.

— Hm... byle nie na długo, bo żona czeka na mnie z obiadem

— Tylko na małą godzinę—uśmiechnął się pan Władysław. — Może papa zechce tu chwilę zaczekać na mnie; wpadnę do Ocieskiego i poproszę go na śniadanie.

— A idź... Tylko czy nie przeszkadzam panu komisarzowi?

— Wcale nie, panie dobrodzieju, a może teraz cygarko?

— Dziękuję — i zapaliwszy, rzekł: — Hm... to dość dziwne, że i marszałek Zawierzycki radził mi przemówić do chłopów.

— Ta zgodność nasza jest dowodem, że obaj pragniemy ułatwić panu dobrodziejowi drogę do poselstwa, bo przecież pan marszałek jest stronnikiem pana dobrodzieja.

— Naturalnie, on mnie postawił na liście kandydatów, jako pierwszego z powiatu—mówił nie bez pewnej dumy.

— I wiedział, kogo postawić, bo pan dobrodziej jest wzorowym obywatelem i jako człowiek doświadczony, wie, że tylko zgodą pomiędzy rządem a krajem można osiągnąć rezultaty dodatnie.

— No tak, zapewne. Wyobrażam sobie, co stałoby się z naszym biednym krajem, gdyby pewnego dnia zabrakło starostw, wojska, żandarmów, policyi... Chaos, nic więcej.

— Anarchia zupełna, panie dobrodzieju; nikt nie byłby pewny życia i majątku.

— Przyznam się panu komisarzowi pod sekretem, że, mojem zdaniem, za wiele wolności nadano nagle mieszczanom i chłopom; teraz to wszystko takie rozwydrzone, zuchwałe...

— Tylko w słowach, panie dobrodzieju, zresztą trzyma się ich krótko.. To tak, jak z końmi: skoro chcą unosić, ściąga się wędzidłami i batem.

— I słusznie, bo mogliby kraj doprowadzić do ruiny, do przepaści...

— Tak, tak, pan dobrodziej głęboki polityk i rozumie położenie kraju.

— Hm... widzi pan komisarz—rzekł z uśmiechem zadowolenia—w zimowych miesiącach, kiedy mało roboty w gospodarstwie, czytało się nie jedno i prze-myślało.

— Szczęśliwe życie—westchnął urzędnik.—Pan dobrodziej co roku ma wakacje.

— To tak wygląda tylko zdaleka! Ile my mamy pracy, kłopotów, trosk!.. Co tam wam, pogoda czy słońce, grad czy posucha: zawsze pensye macie; dlatego też syna pokierowałem na urząd.

— O, to bardzo zdolny i obrotny człowiek—pochwalił szczerze komisarz.

— Prawdę mówiąc, wszyscy mu to przyznają—uzupełnił ojciec.

Otworzyły się drzwi, wszedł pan Władysław, a za nim pan Ocieski, niski blondyn, z wielkimi wąsami, nastroszonymi przy końcach.

— Papo, mój kolega, pan Stefan Ocieski.

— Bardzo mi przyjemnie. — Uścisnęli sobie ręce.—Spodziewam się, że pan nie odmówi nam swego towarzystwa.

— Oczekujemy tedy panów o pół do pierwszej; przyznam się panom, że jestem już głodny.

— No, naturalnie, po podróży — rzekł komisarz.

— Panowie teraz przyjechali? — spytał pan Ocieski.

— Zajechaliśmy wprost do starostwa — odpowiedział pan Świetnoski, wskazując na stojący powóz.

— Ładne konie—pochwalił pan Ocieski.

— Swego chowu—uśmiechnął się właściciel, rad z pochwały.

— Jedźmy, papo — naglił syn. — Mamy do załatwienia kilka spraw jeszcze przed miłym spotkaniem się z panami.

Nastąpiły zwykłe pożegnania, powtórne przypomnienia o spotkaniu i goście wyszli z biura.

— O jakich sprawach mówiłeś?... — spytał ojciec.

— Trzeba nam wpaść do rady powiatowej i tam omówić wybory.

— Przyznam ci się, że jestem już zmęczony, no i trochę głodny.

— Lepiej przecież, papo, zbyć kłopot z głowy... Śniadanie skończy się około trzeciej i już nie zastaniemy nikogo w biurze.

— Hm... to jedźmy.

Podeszli do powozu, a pan Władysław rozkazał lokajowi:

— Pójdiesz zaraz do hotelu Europejskiego i zamówisz gabinet na śniadanie. Będzie czterech panów...

— Słucham.

— Śniadanie obfite i dobre wina, a niech zamrożą szampana

— Czy nie za wiele dla urzędników? — zrobił uwagę ojciec po francusku.

— Niech raz użyją. Taka gratka nie codziennie im się trafia... Słuchaj!—zawołał do stangreta.—Wież nas do rady powiatowej.

W czasie drogi, rzekł ojciec:

— Wiesz, ten komisarz Silnicki, to niezły człowiek, dosyć rozumny...

— Cóż mówił?

— Nic ważnego, ale zauważyłem, że zna się na polityce i ludziach -- odpowiedział, mając w pamięci posłyszaną pochwałę swej osoby.

— Słyszałem o nim, jako o energicznym urzędniku... To prawa ręka starosty i wkrótce może sam zostanie starostą.

— Cóż będziemy robili w radzie?

— Może zastaniemy Zawierzyckiego, w każdym razie sekretarza... Jak on się nazywa?

— Alboż ja wiem...

— Mniejsza z tem.. Nadrobimy z nim, aby podusił trochę chłopów i skłonił ich na naszą stronę.

— Czy i tego zaprosisz na śniadanie?

— Nie, chyba wieczorem na wino.

— To już lepiej razem, za jednym zamachem pozbyć się ich wszystkich.

— Nie można, papo. Tym w radzie zdaje się, że coś znaczą i mają siebie za starostwo autonomiczne — uśmiechnął się drwiąco — a tylko trochę na chłopów mają wpływ, zresztą nikt sobie z nich nie robi.

— Więc zostaniemy aż do wieczora w mieście?—spytał ojciec z odcieniem żalu.

— Jak trzeba, papo, to trzeba.

W budynku rady powiatowej przyjęto ich z wielką uniżonością, wiedziano bowiem, że stosunki sąsiedzkiej zażyłości łączyły gości z panem Zawierzyckim.

— Pan marszałek jest?—zapytał woźnego.

— Niema.

— A pan sekretarz?

— W biurze, na pierwszym piętrze.

W pokoju wielkim, jasnym powitał wchodzących człowiek wysoki, szczupły, mocno szpakowaty, słowami:

— A, pan dobrodziej Świetnoski...

— Dzień dobry panu... Mój syn, Władysław, pan sekretarz.

Podali sobie ręce.

— Proszę, siadajcie panowie... Czem mogę służyć?

— Nie zastaliśmy, panie sekretarzu, marszałka — zaczął ojciec — a chcieliśmy pomówić o wyborach.

— O kandydaturze pana dobrodzieja wspominał pan marszałek...

— Hm... idzie o chłopów, panie sekretarzu... Wy macie tam wpływ pewne...

— Pan marszałek polecił nam popieranie kandydatury pana dobrodzieja.

— Panie sekretarzu — wmieszał się pan Władysław — i pan i ja jesteśmy urzędnikami, my obaj wiemy, że wykonanie polecenia a wykonanie, są dwie

różne rzeczy, zawsze można skrócić lub przewlec sprawę.

— Przepraszam pana, ale w jakim urzędzie szanowny pan?

— W namiestnictwie, lecz znam się o tyle na stosunkach powiatowych, że wiem, jak bardzo cenną jest wasza pomoc przy wyborach, i o nią prosimy...

— Hm... zapewne — mówił zwolna sekretarz, przyglądając włosy lewą ręką — nie mogę zaprzeczyć, że na gminy ma się pewien wpływ, ale w sprawach administracyjnych; nie możemy przecież zmuszać włościan do zmiany przekonań.

— Jakież są te przekonania?—zaśmiał się z ironią kandydat.

— O ile wiem, większość jest za wyborem chłopca do sejmu.

— Ależ to niemożliwy wybór! Chłop z naszego powiatu!?... I pan mówi to tak spokojnie!

— Panie dobrodzieju, i ja jestem przeciwny wyborowi Brosza, i my, urzędnicy rady powiatowej, stosownie do wskazówek pana marszałka, agitujemy na korzyść pana, przemawiamy, tłumaczymy...

— To za mało! — wybuchnął pan Świetnoski. — Co to wdawać się w rozumowania z chłopem! Kazać i kwita!

— Tego rodzaju rozkazy przechodzą zakres naszej działalności—odpowiedział z chłodną powagą sekretarz.

— Papa się unosi — zaczął pan Władysław. — Panie sekretarzu, po co nam grać w chowanego — uśmiechnął się przyjaźnie—my obaj wiemy, co mogą

lustratorzy, nadzorcy dróg i inni panowie. Idzie o to, aby stosując się do wskazówek pana marszałka, wpłynęli energicznie na prawybory, a względnie na wybranych delegatów.

— To już nie do mnie należy—odpowiedział z zimną grzecznością — to rzecz zasad i sumienia tych panów.

— Pan sekretarz mógłby jednak wpłynąć na nich, gdyby zechciał.

— Na przekonania i zasady osobiste nie mam żadnego wpływu z urzędu.

— Więc pan odmawia mi swej pomocy? — spytał kandydat ze źle ukrytym gniewem.

— W zakresie, naznaczonym przez pana marszałka, wszystko, co będzie można zrobić, to się zrobi.

— Zatem wszystko pójdzie dobrze — zaśmiał się pan Władysław. — Idzie tylko o bliższe omówienie, ale tak na sucho trudno gadać. Może pan sekretarz będzie łaskaw i zejdziemy się na kieliszek wina?...

— Dziękuję, nie pijam

— Jeden raz zrobi pan wyjątek.

— Od zasady niema wyjątków.

Obaj panowie wstali, pan Władysław uśmiechając się, rzekł:

— Możemy więc liczyć na pomoc pana?

— O ile to leży w moim zakresie...

Obaj panowie pożegnali się chłodno z sekretarzem, a gdy byli na chodach, zaśmiał się syn:

— Jaki pan, taki kram.

— I potrzebnieś mnie tu wiózł?

— Wiemy, jak stoimy z radą, a i to coś znaczy.

— Znałem go jako gbura — skarżył się ojciec — ale nie przypuszczałem, że taki nieużyty...

— Będzie on śpiewał inaczej, jak papa zostanie postem — uśmiechnął się syn, siadając do powozu.

— Do hotelu Europejskiego!

Konie ruszyły.

— Papo, a możeby dziś po śniadaniu wpaść do kanonika?

— O, nie. Mam dosyć wizyt.

— Nie zaszkodziłoby jednak.

— Nie chcę.

Jechali przez główną ulicę miasta powiatowego. Na chodnikach snuli się przeważnie żydzi, a szlady sklepowe wskazywały prawie same nazwiska nie polskie.

Pan Władysław, wskazując na żydów, rzekł do ojca:

— Tu walka wyborcza będzie krótka i napewno przejdzie hrabia...—wymienił nazwisko.

— Wiesz, nie bardzo; dosyć jest mieszczan i urzędników, nauczycieli...

— Ale jak żydzi pójdą ławą za nim, wyjdzie postem... *A propos* żydów, kiedy papa myśli z nimi skończyć?

— Nie wiem, pogadam z Szają... Sam do nich nie pojedę.

— Naturalnie; pytałem tylko o czas.

— Pomyślę nad tem; teraz jestem głodny i zmęczony.

Syn spojrział na zegarek.

— Za dziesięć minut przyjdą.

— Ciekawy też jestem, co mają w hotelu do zjedzenia, bo wiesz, Władziu, te kuchnie hotelowe są niebezpieczne.

— Zwłaszcza na prowincyi... Pewno i win dobrych nie mają.

— Ale, ale, mój Władziu, nie szafuj zbyt wiele winem, i tak drogo kosztują wybory i przyjazd Rókićkiej.

— Opłaci się nam to wszystko... — uśmiechnął się.

— Może tobie, gdy ożenisz się z Ewcią posażną, ale nie mnie.

— Nam wszystkim będzie lepiej, bo zamysłam oczyścić Bruśnik z długów; to przecież nasz majątek rodowy.

— Z ciebie jednak dobry syn — mówił ojciec rozczulony. — A wiesz, płaciłbym ci regularnie.

— O to jestem spokojny — uśmiechnął się.

W bramie hotelu dwupiętrowego, gdy stanął powóz, zbiegła się cała służba, prześcigając się w usłudze, a wyprostowany lokaj meldował tonem żołnierskim:

— Stosownie do rozkazu jasnego pana, gabinet i śniadanie gotowe.

Sam gospodarz wyszedł do sieni i wprowadził gości przez salę restauracyjną do gabinetu przyległego.

Pan Władysław spojrział na stół okiem znawcy, skrzywił się niezadowolony i rozkazał:

— Zabrać ten bukiet ze stołu .. Za jaskrawy.. Łyżki niepotrzebne; bulion lub barszcz poda się w filiżankach.

— Słucham jasnie pana—rzekł garson, stosując się do wskazówek

— Postawić stolik na wódki i przekąski... Ten na naczynia odsunąć od okna... Podaj kartę.

Spojrział na spis potraw, pokręcił głową z wątpliwością i czytał.

— Władziu, napijmy się wódki; za długo czekać na nich.

— Jaką mam służyć?—zapytał lokaj.—Starka, śliwniak, łańcucka..

— Daj starkę, tylko nie w tych naparstkach — odrzekł pan Świetnoski, wskazując na kieliszki.

— W twoje ręce, Władziu.

— Niezawodne — uśmiechnął się pan Władysław.

Obaj przystąpili do tacy z przekąskami. Ojciec wziął pierwszą lepszą z brzegu, syn z grymasem niesmaku wziął bułkę z kawiozem i rzekł do lokaja:

— Na przekąskę dasz kawior gruboziarnisty, pasztet i tacę małych kanapek.

— A na śniadanie, co jasnie pan każe?

— Nie pytaj, sam powiem... Hm, obniesiesz półmisek rostbefu angielskiego i dasz do niego por-

ter oryginalny, następnie kurczęta pieczone z sałatą, do nich wino białe i francuskie...

— Może lepiej, Władziu, austriackie?...

— Niech będzie austriackie... Owoce, ser, kawa, likiery... Zaczekaj... Na żądanie filiżanki bulionu lub barszczu... Zaczekaj... Szampan zamrożony?

— Tak, jaśnie panie.

— Jaka marka?

— Zdaje mi się „Cliquot.”

— Żadne zdaje mi się! Musi być „Pommery.”

— Słucham. jaśnie panie.

— Teraz idź i wszystko ma być zaraz gotowe... Papo musimy umyć ręce po tych uściskach serdecznych—zaśmiał się.

— Masz słuszość — odpowiedział ojciec, przypatrując się swym spotniałym, zbrudzonym palcom.—Wiesz, że ci twoi urzędnicy—mówił, idąc do numeru przygotowanego dla nich — nie są bardzo *comme il faut*.

— W każdym razie lepsi od autonomicznego sekretarza—odparł pan Władysław z uśmiechem.

— To prawda. Ten to gbur; ręczę, że pochodzi z chłopów.

— Albo łyków miejskich—dorzucił syn.

Gdy po chwili weszli do gabinetu, zastali wszystko według wydanych rozkazów. Butelki wódek stały rzędem, otoczone kieliszkami; na stole czernił się kawior z przerzniętymi cytrynami, szarzał pasztet, a taca, pełna kanapek, mogła zwabić nawet smakoszków, tak zgrabnie były ułożone na nich kawałki szynki, serów, sardynek, różnych wędlin i rybek z ostrym zapachem.

Ojciec, przypatrując się uczynionym przygotowaniom, rzekł:

— No, ci dziś użyją... Ładnie to wygląda, ale co sobie policzy restaurator?—Westchnął głęboko.

Pan Władysław, stojąc przed lustrem i poprawiając krawat wiązany, ciągnął ciemne wąsiki w górę, strosząc je starannie, i z uwagą przypatrywał się krojowi tużurka, poprawiając kołnierz i ściągając poły. Słyszając westchnienie ojca, uśmiechnął się i rzekł:

— Papo, kilkadziesiąt guldenów mniej czy więcej wobec posłowania jest drobnostką.

— Jak dla kogo — odparł ojciec i pokiwał głową.

Zapukano do drzwi.

— *Entrez!*

Pierwszy wszedł pan Silnicki, za nim pan Ocieski, obydwaj w ubraniach innych, aniżeli mieli w biurze.

— Przepraszamy za opóźnienie, ale taki był nawał pracy...

— Czekaliśmy niecierpliwie—rzekł, śmiejąc się kandydat—bo to już dobrze *hora canonica*.

— Zaczynamy — przemówił po przywitaniu się pan Władysław i zapraszał na wódkę.

Rozmowa na razie toczyła się obojętna: o pogodzie, żniwach, zajęciach biurowych, spodziewanych awansach; dopiero przy winie poczęła być swobodniejsza.

Pan Władysław, widząc różyczkę czarno-żółtą ze wstążeczki na kłapie pana Silnickiego, rzekł serdecznie:

— Nie miałem sposobności powinszować panu komisarzowi zasłużonego odznaczenia.

— Kosztował mnie dużo pracy ten order — odpowiedział pan Silnicki, patrząc z uśmiechem na różyczkę. — A co hałasu, oszczerstw po dziennikach demokratycznych!...

— Za co pan dostał order? — spytał ojciec.

— Za wybory, panie dobrodzieju, do rady państwa — pośpieszył pan Ocieski.

— Za wybory?! A to ciekawe! — zdziwił się pan Świetnoski.

— I pouczające — dodał z uśmiechem pan Ocieski.

— Opowiedz pan nam! Bardzo prosimy! — zawołał pan Władysław, jakkolwiek znał całą sprawę.

— Było to tak — opowiadał komisarz, gładząc delikatnie faworyciki: — Demokraci i ludowcy zjednoczyli się, aby w powiecie wybrać posła swego...

— W naszym? — spytał pan Świetnoski.

— Nie — tu pan Silnicki wymienił powiat, napił wina i mówił dalej. — Komitet centralny polecił wybór hrabiego Rudolfa. Wybór do rady państwa trudniejszy, bo odbywa się kartkami, więc trudniejsza kontrola, aniżeli gdy ustnie głosują, jak do sejmiku. Większość, i to bardzo znaczną, wyborców chłopskich miał za sobą ich kandydat. Co tu robić? Hrabia nie żałował pieniędzy na agitatorów, na kupno głosów, na jedzenie i napoje, ale uparli się chłopcy i zaraz w pierwszej połowie głosowania widzę, że źle z nami — znów wziął kieliszek i pił zwolna.

— Cóż dalej? Ilu głosowało? — dopytywał się pan Władysław.

— Wyborców w okręgu było dwustu czterdzie-

stu, z tych, mniej więcej, za hrabią było sześćdziesięciu, a sto osiemdziesięciu za kontr-kandydatem.

— O, to źle było — zawołał pan Świetnoski — i jak pan sobie poradził?

— Mówiłem już panom, że widzę, iż hrabia przepadnie, zawieszam więc głosowanie na godzinę i każe telegrafować do starostwa mego, że kandydat chłopski został sparaliżowany i jest umierający.

— Gdzież on był?

— W innym mieście przy wyborach, tak dalece był pewny wygranej u nas... Tę depezę urzędową przybić kazałem na drzwiach sali wyborczej.. Chłopi w krzyk, jęk, narzekania... A ja z urzędu oświadczam, że wobec takiego wypadku nie można głosować na tego kandydata. Na razie podnieśli chłopi gwałt, ale już kręcili się wśród nich agitatorzy hrabięgo, a że wyborcy nie mieli na kogo głosować, ulegli pokusie i oddali swe głosy na hrabięgo... I co powiecie panowie, hrabia przeszedł większością dwóch głosów.

— To był świetny pomysł — zachwycił się pan Władysław.

— Genialna myśl — zawołał pan Ocieski.

— Hm... panie komisarzy, a nie wykryto prawdy? — spytał ojciec.

— Może w godzinę, może w pół godziny przyszła depeza od kandydata, że jest zdrow i nigdy nie chorował, ale klamka zapadła... Wściekali się chłopi, że dali się wywieść w pole, i tak hałasowali przed starostwem, że kazałem ich rozpuścić zandarmom.

I znów nastąpiły zachwyty nad dowcipnym pomysłem pana Silnickiego, tylko pan Świetnoski sie-

dział zamysłony. Nie mógł jakoś na razie pogodzić wrodzonego poczucia uczciwości z taką sztuczką wyborczą. Lecz z drugiej strony tłumaczył sobie, że ów kandydat był nieostrożny, gdyż sam nie pilnował wyborów, a zresztą taka fałszywa depesza nie zaszkodziła mu ani na zdrowiu, ani na opinii, a że postem nie został, nie jest to tak wielkiem nieszczęściem. O niemoralności wprowadzania w błąd wyborców chłopskich przez urzędnika państwowego, ani pomyślał; to przechodziło zakres jego uczuć. Machnął też ręką na znak, że to wszystko jest mu obojętne i rzekł z uśmiechem uznania:

— Chciałbym zawsze mieć pana komisarza przy wyborach za sobą, a nigdy przeciw sobie... Z pana niebezpieczny człowiek.

— Obawy pana dobrodzieja są płonne — uśmiechnął się pan Silnicki — gdyż jako szlachcic zawsze byłem i jestem za szlachtą.

— Niech żyje obrońca naszych praw nieprzedawnionych! — zawołał pan Ocieski, który jako urzędnik niższy rangą chciał pochlebić starszemu koledze i przypomnieć zarazem swe szlachectwo.

— Zepsułeś mi, Stefanie, porządek — rzekł pan Władysław z lekką wymówką — zastrzegam sobie prawo wypicia zdrowia tak zacnego szampanem.

— Za wiele honoru — mówił komisarz z udaną skromnością, trącąc się kieliszkiem. — Spełniłem tylko swoją powinność, nie więcej.

— Hm... panie komisarzu, gdyby tak udało się panu z moimi kontr-kandydatami — westchnął pan Świetnoski.

— Może pan dobrodziej być spokojny... Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze — pocieszał go komisarz.

— Ale, *à propos* tego Drewniaka, nie nie rozumiem naprawdę — mówił pan Władysław, gładząc wąsiki — jak mogliście pozwolić, aby taki niepoń grasował bezkarnie tak długo w powiecie.

— O, to ziółko. Już go sobie zanotowałem i jego przyjaciół sierniężnych — zaśmiał się komisarz złośliwie — ci już poznali słodkie owoce przyjaźnienia się z takim panem.

— Czyżby on ośmielił się zdrzeć z panem komisarzem? — pytał zdziwiony pan Świetnoski.

— Przy rozwiązaniu jednego ze zgromadzeń poufnych, stawiał mi się hardo; już kazałem go aresztować, ale... — i umilkł, pijąc wino.

— Jakie ale? — dopytywał się pan Władysław.

— Nie miałem wyraźnego polecenia pana starosty; coś miał w tem, aby Drewniaka oszczędzać — kończył tajemniczo.

— Ja mogę panu komisarzowi zdradzić całą tajemnicę — rzekł pan Władysław.

— Prosimy — zawołali obaj urzędnicy zaciękami.

— Pan Ządębiński wzbronił wyrębu lasu w Bruśniku, przerobiło się to jakoś w namiestnictwie — mówił z miną, która pozwalała się domyślać sprawcy w jego osobie — i z tego powodu czuł żal do papy i zezwolił na pohulanekę Drewniaka.

— I ja domyślałem się tego — uśmiechnął się komisarz. — Ale...

— Ale dzisiejsza zmiana? — przerwał mu pan

Władysław. — To następstwo listu Balki... Teraz wszystko jasne i rozumiałe, co?

— Tędy go wiedli!—zaśmiał się pan Ocieski.— Ten list to połowa głosów.

— Znów tak dalece—upomniął go starszy urzędnik — to nie, ale bądź co bądź, wpłynie korzystnie na wybory.

— Byle prawyborcy poszły dobrze, bo z delegatami zawsze sprawa łatwiejsza — westchnął kandydat.

— Od prawyborów specjalistą to już pan Ocieski—zaśmiał się komisarz.

— Ty Stefanie?—zdziwił się pan Władysław.— Znałem cię we Lwowie, jako lwa salonów, i ty umiesz radzić sobie z tem chłopstwem?

— Konieczność uczy wszystkiego -- uśmiechnął się — i ty, Władziu, na prowincyi musiałbyś się zastosować do wymagań.

— No tak, zapewne...—i nacisnął guzik dzwonka, mówiąc do wchodzącego garsona:

— Dawaj szampana.

Pan Świetnoski, przypatrując się filigranowej postaci od prawyborów, rzekł zdumiony:

— I pan, pan radzi sobie z chłopami?

— Trochę sprytu i odwagi wystarczą w tym razie zupełnie — odpowiedział spuszcżając skromnie oczy pan Ocieski.

— Ale jak, opowiedz pan, jak?

— Za naszym kandydatem muszą głosować, chcą, czy nie chcą, nauczyciele ludowi, wójci i podwójci... albo też inne zależne od nas jednostki. Przed

wyjazdem na prawyборы wynotuję sobie wszystkie te figury, i prawyборcy muszą ich wybrać.

— Jako muszą?

— Naturalnie, muszą, bo dobieram prawyборców stosownych.

— Nie rozumiem.

— Rzecz bardzo prosta—uśmiechnął się i spojrział porozumiewająco na komisarza, jako wtajemniczonego — naznaczam na prawyборы w gminie dzień, w którym jest w pobliżkiej wsi odpust, albo jarmark w miasteczku; chłopi czekają do oznaczonej godziny, ja się nie zjawiam, więc rozejdą się. Przyjeżdżam, każę wójtowi tych i owych ściągnąć, i z prawyборów wychodzą moje kreatury.

— A to pyszny sposób! — ucieszył się właściciel Bruśnika.—O, z pana majster!

— Daleko mi jednak do pana komisarza—rzekł skromnie Ocieski.

Garson napełniał kieliszki szampanem. Pan Władysław wstał i przemówił:

— Pozwólcie panowie, że pierwszy ten toast wniosę na cześć i zdrowie filaru naszego powiatu... Piję zdrowie pana komisarza Silnickiego, który jak ów legendowy rycerz *sans peur et sans reproche* trzyma w korbach hydrę anarchii i bezbożności, nie dbając o jej wycia, jad i gniewne miotania. Oby takich wzorowych obywateli i urzędników liczył jaknajwięcej nasz kraj skołatany. Wiwat pan Silnicki!... Duszkiem, panowie, pije się takie zdrowiel

Nastąpiły serdeczne uściśnienia rąk, z oznakami rozczulenia po wypitych trunkach.

Gdy się gwar uciszył, komisarz zadzwonił

w kieliszek, i gładząc faworyciki, mówił słodkim głosem:

— Sprawdziło się na mnie przysłowie, że nie bierze zasłużony, ale szczęśliwy. Pan Władysław pił moje zdrowie w uznaniu mej pracy, ale na co i komu zdałyby się moje usiłowania, gdyby nie było luminarzy w naszym społeczeństwie, którzy skołatana nawę naszego politycznego życia prowadzą do spokojnej i bezpiecznej przystani... Takim oto wybraniem narodu jest tu obecny pan Stefan Świetnoski, obywatel z dziada pradziada, pracujący ciężko na ojczystym zagonie. Ma dostatek, uznanie, cześć i szacunek wszystkich, mógłby odpocząć po pracowitem życiu, ale silniejsze w nim poczucie obywatelskich obowiązków, aniżeli odpoczynek zasłużonych. Nie waha się tedy narazić siebie na trudy, kłopoty i niebezpieczeństwa, byle służyć krajowi wytrawną radą w sejmie. Zdrowie tak zacnego obywatela, zdrowie posła naszego! Niech nam żyje!

Pan Świetnoski omal że się nie rozplakał z rozczulenia nad własnem poświęceniem dla kraju, wstał i zamiast podziękowania ucałował serdecznie mówcę w oba policzki, mówiąc:

— O, z pana komisarza głęboki znawca ludzi: jakbyś pan czytał w mojem sercu, bo mnie głównie o dobro kraju chodzi... No i nie mogę pozwolić na hańbę naszego powiatu, aby go chłop reprezentował w sejmie.

— I on nie będzie posłem! — zawołał energicznie pan Ocieski.

Na temat wyborów i różnych sposobów przeprowadzenia kandydatów swoich prowadzono bardzożywioną i wesołą gawędkę, przerywaną licznymi toastami. Lokaj z Bruśnika podał kawę, nalewał likie-

ry i koniaki, przysłuchując się z wielką uwagą rozmowie panów, z twarzą obojętną jednak i ożywiającą się tylko na skinienie pijących.

Rozmarzeni trunkami urzędnicy, nie szczędzili przyrzeczeń i zapewnień, że jedynie pan Świetnoski przejdzie na posta do sejmu, jeśli nie jednogłośnie, to bardzo znaczną większością głosów.

Gdy wspomniano o Broszu i jego kandydaturze, porwał się z krzesła pan Ocieski, wołając:

— *Pereat Brosz!*

Obecni powtórzyli życzenie, jednak dopiero wypróżnili kieliszki z prawdziwym zadowoleniem, gdy pan Silnicki zawołał z wielką energią:

— *Pereat Drewniak!*

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.



DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Rok 1897.

Tom.

1. Juliusz Słowacki. Powieści poetyckie, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *2, 3 i 4. Bolesławita. Tułacze, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. Psychologia rozwoju narodów, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *6. Eliza Orzeszkowa. Trzy nowelle, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- *7. Iwan Turgeniew. Z zapisek myślowego, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- **8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. Dzieje Księstwa Warszawskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. Cudna Mieszczka, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
12. Jan Kochanowski. Psalterz Dawidów, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. Zakopane skarby, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.

Rok 1898.

- 14 i 15. Bolesławita. Czarna Perłka, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- *16. Julian Mohort i Klemens Junosza. Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- *17. Teodor Jeske-Choński. Słumione Iskry, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. Poemata, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *19. Władysław Smoleński. Szkoły historyczne w Polsce (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. Szkice i obrazki, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825)**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
- *24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży (Nauczanie początkowe i średnie)**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- *30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*, z ilustr.
- *31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- *32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłumaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andréego balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- *35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasy**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego**, w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego*, z ilustr.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej**, z przedmową *T. Jeske-Chońskiego*.
44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *47. Juliusz Słowacki. **Beniowski**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *50. Adam Krechowiecki. **Stella**.—**Tartówna**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
51. G. Krahmer. **Syberja i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej**, w tłumaczu i z przedmową *Włoz. Trąpczyńskiego*.
- ***52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego**, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*, z mapą dawnej Polski.

Tom.

55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie.** — W puszozy, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- *59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio**, z przedmową *Adama Phuga*.
- 63, 64, 65. L. Gallet. **Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac**, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilustr.

Rok 1899.

- 66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna**, w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąmpczyńskiego*.
- *68. Konstanty Rengarten. **Pieszko do Chin**, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach**, w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- *70. Michał Bałucki. **Przekłete pieniądze**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasieńskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- *73. 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
75. 76. 77. 78. 79. 80. Cervantes. **Don Kiszot**, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracjami G. Dorégo.
81. Edmund Biernacki. **Istota i granice władzy lekarskiej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie**, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracjami.
84. Stanisław Grudziński. **Półpanek**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babilonu**. Powieść
87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska** Studium krytyczno-literackie.
88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi**, z przedmową *Wiktora Gomulickiego*.
- 89, 91. **Pamiętniki Szymona Konopackiego**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
90. Maciej Wierzbński. **Nowelle**, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*

Tom.

- I. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami.
92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- 93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a**, w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego*.
95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej** z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona**, w przekładzie Topora.
- 98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne**, z przedmową.
101. Roman Zawiliński. **Słowacy Ich życie i literatura**, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracyami.
102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą**, z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
- II. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami.
103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
104. Sewer. **Wśród pokus**, powieść z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami i mapką.
- 106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci**. Powieść z czasów kampanii węgierskiej.
109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu**, z ilustracyami.
110. Władysław St. Reymont. **Sprawiedliwie!** powieść z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
111. **Pamiętnik Generała Wysockiego**, z ilustracyami.
112. Jan de la Brète. **Mój Wuj i mój Proboszcz**, powieść z przedmową *Juliana Mohorta*.
- III. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami
- 113, 114. Edward Foà. **Polowania na grubego zwierzca w Afryce środkowej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustr.

Rok 1900.

115. Wiktor Hugo. **Rzeczy Widziane**, (1848 — 49) w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
116. Henryk Szuman. **Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie** (1848), z przedmową *Aleksandra Kraushara*.
- 117, 118, 119, 120. Teodor Jeske-Choński. **Tyara i Korona**, powieść historyczna.

Tom.

- 121, 122. Dr. Lassar-Cohn. **Chemia Życia Codziennego**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 123, 124, 125. Hr. L. N. Tołstoj. **Zmartwychwstanie**, powieść, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- IV. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami
126. John Ruskin. **Gałązka dzikiej oliwy**, w przekładzie W Szukiewicza, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
127. Włodzimierz Zagórski. **Humoreski**.
- 128, 129. Walerya Marrené-Morzowska. **Błędne koła**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 130, 131. Szymon Konopacki. **Moja druga młodość**, trzeci i czwarty tom pamiętników.
132. Ewweli-Bej. **Suryawansa**. Powieść na tle życia Ormian tureckich.
- 133, 134. Dr. Józef Siemiradzki. **Szlakiem wychodźców**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, (z ilustracyami).
135. A. Komorowski. **Wspomnienia Podchorążego**, (z ilustracyami).
136. Marcin Kukuczyn (Maciej Bencur). **Obrazki i Nowelle** z przedmową *Wawrzyńca Szrobara*.
137. Józef Korzeniowski. **Kolokacya**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
138. Karolina Świetła. **Z naszych Walk i bojów—Oczarowana**, w przekładzie Maryi Czesławy, z przedmową *Bronisława Grabowskiego*.
139. Eliza Orzeszkowa. **Przy dochodzeniu śledczem**.
140. Edward Strumpf. **Obrazy Kaukazu**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
141. Wanda Grot-Bęczkowska. **Marzycielka**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
142. Juliusz Słowacki. **Poezye liryczne i gnomiczne**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- V. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracyami.
143. Edmund Plauchut. **Chiny i Chińczycy**, w przekładzie H. Michałowskiego, z ilustracyami.
- 144, 145. Mikołaj Jósika. **Ostatni Batory**, z węgierskiego przełożył Antoni Lange, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- 146, 147. Marya Rodziewiczówna. **Dewajtis**.
148. Józef Tokarzewicz (Hodi). **W dniach wojny i głodu**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 149, 150. Dr. Sven Hedin. **Przez pustynie Azji**, w przekładzie Wiktora Doleżana, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
151. Jonasz Lie. **Ideolog**, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.

Tom.

152. T. T. Jeż. **Jaskółki.**
153. Wiktor Gomulicki. **Opowiadania o Starej Warszawie**, z ilustracjami.
154, 155, 156. Karol Rais. **Patryoci z zakątka**, w przekładzie J. Kietlińskiej-Rudzkiej.
157. Dr. Maks Pettenkofer. **Powietrze i zdrowie**, w przekładzie Maryana Stępowskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
158, 159. Marya Rodziewiczówna. **Na wyżynach.**
160. Ks. Augustyn Kordecki. **Pamiętnik Oblężenia Częstochowy**, z ilustracjami.
161. Anna Neumanowa. **Ze Świata.**
162. M. Szukiewicz. **Z ziemi fjordów i fjeldów.**
163. Klemens Junosza. **Dworek przy cmentarzu.**
VI. Piotr Chmielowski. **Historia Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.

Rok 1901.

164. Michalina Domańska. **Brzydka.** Powieść.
165, 166. Antoni Fogazzaro. **Malombra**, z przedmową *W. Marrené-Morzakowskiej*.
167, 168. Artur Gruszecki. **Na wyścigach.** Powieść.
169, 170, 171. W. Doroszewicz. **Sachalin**, z ilustracjami.
172, 173. O. Ludwik Coloma. **A pfe! — Tumany i kałuże**, z przedmową *Hajoty*.
174, 175. Marya Rodziewiczówna. **Błękitni.** Powieść.
I. Julian Adolf Świącicki. **Historia Literatury Powszechnej. — Literatura Babilońsko-Assyryjska i Egipska.** (T. I).
176, 177. Ernest Lavise, Alfred Rambaud i in. **Napoleon I w świetle najnowszych badań.**
178, 179, 180. Hr. Alfred de Vigny. **Cinq-Mars**, przełożył Witold Łaszczyński.
181. Ludwik Ariosto. **Orland oszalały**, w przekładzie Felicyana.
182, 183. Rudyard Kipling. **Od morza do morza**, przekład z angielskiego M. G.
184. Knut Hamsun. **Wiktoria.** Historia miłości.
185, 186, 187. Karol Dickens. **Powieść o dwóch młastach**, w przekładzie i z przedmową *Hajoty*.
II. Julian Adolf Świącicki. **Historia Literatury Powszechnej. — Literatura Chińska i Japońska.** (T. II).
188. Teodor Jeske-Choiński. **Trubadurowie**, z przedmową *Autora*.

Tom.

189. Matylda Serao. **W biurze telegraficznym.**
190, 191. T. T. Jeż. **Z ciężkich dni.**
192, 193. Paweł Bourget. **Widmo**, tłómaczyła Br. Neufeldówna.
194. El. (Kazimierz Laskowski). **Wiersze i Śpiewki**, z przedmową *A. Września*.
195. Stefan Krzywoszewski. **Pani Jula**, z przedmową *A. Września*.
196. Juliusz Zeyer. **Jego i jej świat**, tłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka, z przedmową *A. Września*.
197, 198. Slatin-basza. **Przez Sudan ogniem i mieczem**, tłómaczył Włodzimierz Trąmpczyński.
199, 200. Eugeniusz Mottaz. **Stanisław Poniatowski i Maurycy Glayre**, przełożyła Jadwiga z Chmielowskich Baranowska, przejrzał i objaśnił *Stanisław Krzemiński*.
III. Julian Adolf Świącicki. **Historya Literatury Powszechnej, — Literatura Arabska.** (T. III).
201. Gomulicki Wiktor. **Wiersze.** Zbiór nowy.
202, 203, 204. Ks. Bolesław Maryański. **Ester** Powieść.
205. E. Brausewetter. **Finlandya w oświetleniu literackiem.** Opracowała Gabryela Plewińska.
206, 207. J. Sielski. **W pół drogi.** Opowiadanie.
208. Dr. Henryk Biegeleisen. **Pamiętnik J. Słowackiego.** Z ilustracyami.
209. Aleksander Wybranowski. **Ongl w dworach i dworkach szlacheckich.**
210, 211. Piotr Leroy-Beaulieu. **Nowe społeczeństwa Anglo-Saksońskie**, tłómaczył Klemens Podwysocki.
112. Świętopętk Czech. **Jastrząb contra Hordliczka**, tłómaczył Paweł Laskowski.

Rok 1902.

- 213, 214, Artur Gruszecki. **Większością!** Powieść.

Wszystkie te dzieła nabywać można oddzielnie w cenie 25 k. za tom broszurowany, lub 40 k. w oprawie, z wyjątkiem dzieł oznaczonych *, których cena od N. R. 1900 podniesioną została na 40 k., oznaczonych **, które kosztują obecnie 50 k., oraz oznaczonych ***, które się liczą po 60 k.

Na przesyłkę każdego tomu, w oprawie lub bez oprawy, dołącza się 10 k.

Ilustr. „Hist. Lit. Pols.“ Chmielowskiego sprzedaje się oddzielnie po rb. 2 za tom, z przesyłką 2 ruble 20 kop., zaś „Historya Literatury Powszechnej“ J. A. Świącickiego po rb. 1 kop. 50, z przesyłką rb. 1 kop. 70 za tom.

OD REDAKCYI.



Wielm. X. P. B. w L. Okładek żądanych do 26-ciu pierwszych tomów na składzie nie posiadamy.

P. K. Sokoł. w Humanii. Czwarty tom „Hist. Lit. Pow.“ wyjdzie z pod prasy prawdopodobnie w końcu stycznia, najpóźniej w pierwszej połowie lutego.

P. Salomei K. u Wilnie. Rękopis Szanow. pani do zwrotu; można odebrać codziennie w Redakcyi pomiędzy 10 a 12 przed południem.

P. Józefowi R. w Warszawie. Nie otrzymaliśmy.

P. Kar. W. w Krakowie. Rękopis wysłaliśmy pod opaską rekomendowaną jeszcze w grudniu r. z. Proszę dowiedzieć się na poczcie miejscowej.

P. Wik. w Warszawie. Nie objęcywaliśmy tego, że całość skończy się w ciągu jednego roku. Żąda Sz. pan rzeczy niemożliwych.

Pani Zofii S. w Płocku. Około 6,000 wierszy. Rękopis nadesłany wystarczy zaledwie na 5 arkuszy naszego druku. Jest do odebrania w Redakcyi, codziennie w godzinach pomiędzy 10—12 przed połud.

Od Nowego Roku 1892

każdy prenumerator

„GAZETY POLSKIEJ”

otrzymuje w zeszytach

Wielkie 4-o tomowe dzieło

wspaniałe ilustrowane p. t.

„HISTORIA SZTUKI”

A. SPRINGERA,

w przekładzie Kazimierza Broniewskiego,

zawierające

1,500 reprodukcji arcydzieł, malarstwa, rzeźby

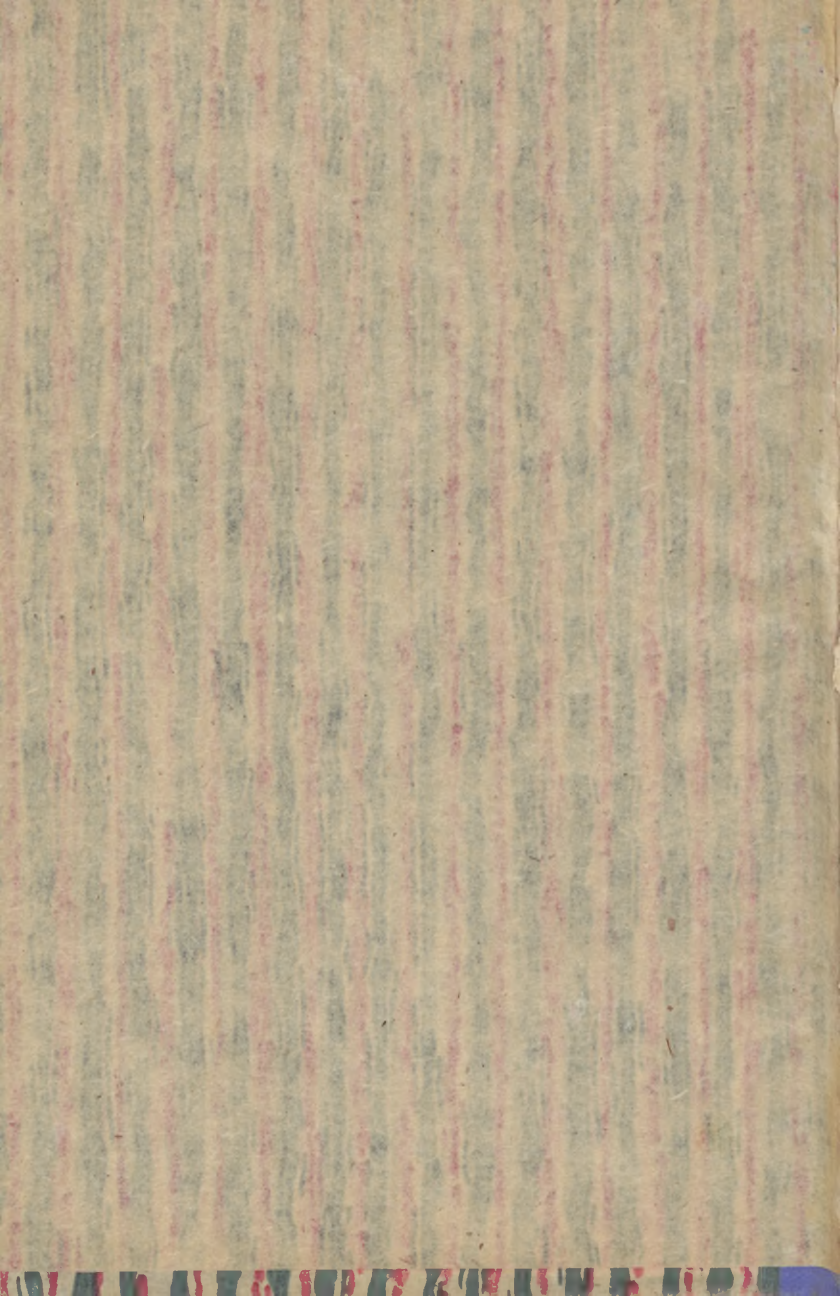
i architektury,

wartości 20 rubli

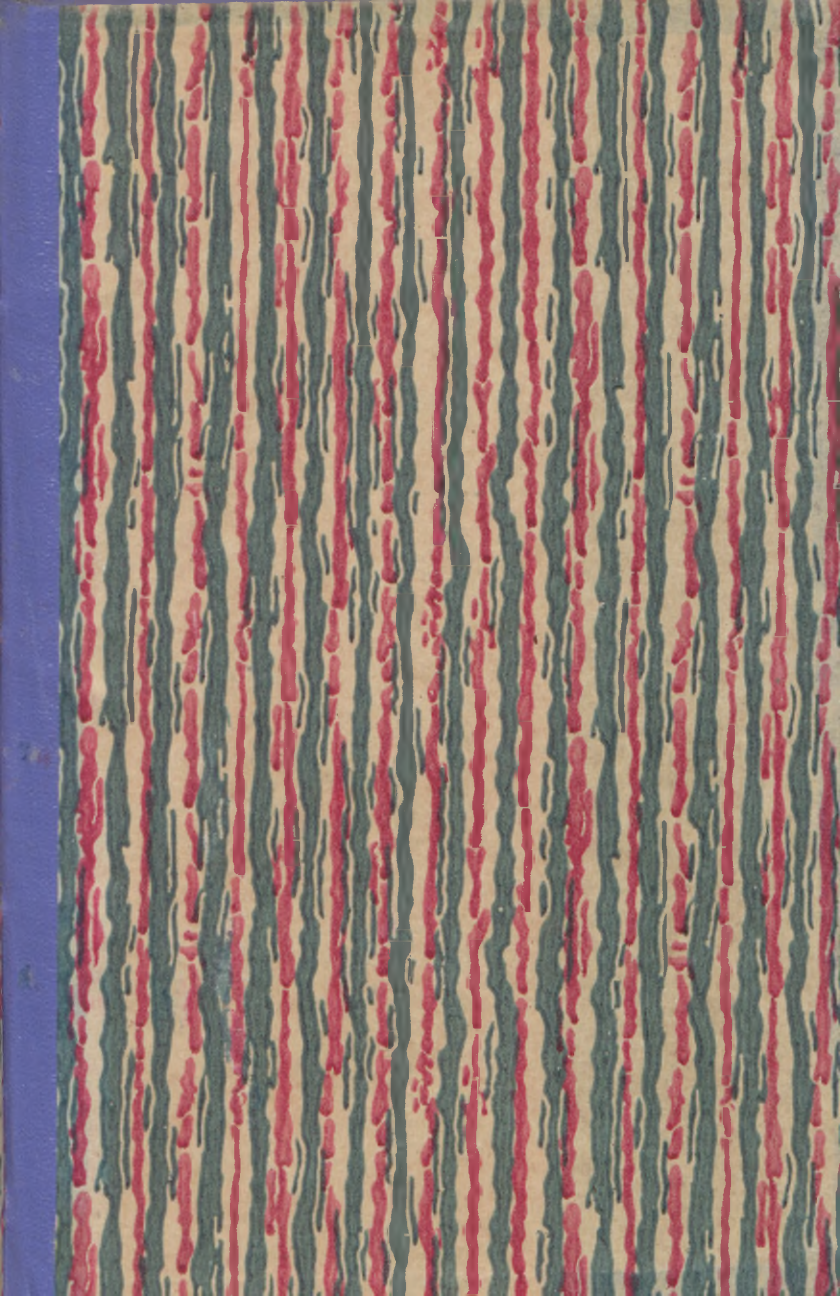
jako premium bezpłatne.

CENA „Gazety Polskiej” wraz z „Historią Sztuki”
i „Historią XIX stulecia” w **Warszawie**: rocznie rb. 9,60,
półrocznie 4,80, kwartalnie 2,40, miesięcznie kop. 80;
z przesyłką pocztową: rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6,
kwartalnie rb. 3.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Warecka 14.







WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

229616

Biblioteka WSP Kielce



0086212